



W SIDŁACH
LOSU

ALEXANDRA

BRACKEN



ALEXANDRA
BRACKEN

W SIDŁACH LOSU

TŁUMACZENIE
MAGDALENA KRZYSIK



KRAKÓW 2015

PROLOG

Czasami, nawet kiedy drogi są puste, a pozostali śpią, ona zadręcza się myślami, że dokonała złego wyboru.

Nie chodzi o to, że nie darzy swoich towarzyszy sympatią. Przeciwnie, lubi ich. Trzymają się razem i – by nie ryzykować – podróżują bocznymi drogami, unikając autostrad, na których aż po horyzont zalega strach. Zawsze są dla siebie życzliwi, chyba że zbyt długo trwają bez jedzenia, snu albo jednego i drugiego. Albo gdy są przerażeni. Gdy obozują nocą, śpią w wielkim kręgu. Dziewczęta opowiadają wtedy historię o dzieciach z Wirginii, z East River. Wszyscy się śmieją, ona jednak nie do końca potrafi przyporządkować twarze do imion. Nie pamięta, jak było usytuowane jezioro w stosunku do paleniska, ani przedstawienia, które pewnego razu sami dla siebie zorganizowali. Nie może tego pamiętać, bo była w tym czasie ze swoimi przyjaciółmi. W innym samochodzie – lepszym i szczęśliwszym. Kiedy dziewczęta kończą opowiadać w kółko te same historie, zalega cisza. Wtedy tęskno jej do ciepłych głosów utraconych przyjaciół, a nawet do chwil, kiedy szeptem kłamali, że wszystko będzie dobrze.

Może to źle – nie wie tego – ale w głębi serca się cieszy, że nikt nie oczekuje od niej, że opowie coś o sobie. Dzięki temu może zatrzymać swoich przyjaciół

tylko dla siebie. Kiedy się boi albo kiedy chce udawać, że to oni żartują, śmieją się i krzyczą obok niej, a nie obce jej dzieci, przykładą rękę do miejsca, gdzie skrywa ich głęboko pod sercem. Robi to też, kiedy pragnie się poczuć bezpieczna.

W tej chwili z całej siły przyciska tam dłoń.

Otoczające ich góry przepływają obok, a dziewczęta krzyczą do kierowcy, żeby jechał szybciej. Jeszcze szybciej. Przez tylną szybę terenówki widzi samochód. Z okna po stronie pasażera wychyla się mężczyzna – wygląda, jakby mierzył prosto w nią. Wyraz twarzy kierowcy sugeruje, że jest gotowy przedrzeć się przez najgorszą burzę, żeby tylko ich dopaść. Nienawidzi go za to.

Pragnie, żeby jej głos przyłączył się do pozostałych. Chce móc krzyczeć i płakać. Słowa jednak więzną jej w gardle. Chłopiec prowadzący ich terenówkę powinien zatrzymać samochód – wcisnąć hamulec i pozwolić, by ścigający ich zwyrodnialcy wysiedli ze swojego auta z myślą, że wygrali. „Jest nas pięcioro, a ich tylko dwóch – myśli dziewczynka. – Można by wziąć ich z zaskoczenia”.

Terenówka niespodziewanie wystrzeliwuje jednak w powietrze, jakby wybiła się z rampy. Pasy blokują się na piersi dziewczynki tak mocno, że kiedy auto się wznosi, ona na sekundę traci oddech. Samochód wiruje, szyby się rozpryskują, a metalowy szkielet zaczyna się giąć. Teraz

nawet ona nie jest w stanie powstrzymać krzyku.

1

– Nieważne, co ludzie mówią, prawda jest taka, że nikt nie chce tej roboty. Godziny ciągną się w nieskończoność, a pieniądze są marne. Nie, cofam to. To nie pieniądze są marne. Jeśli uda ci się złowić sztukę przyzwoitych rozmiarów, możesz zgarnąć sporą sumkę. Chodzi o to, że, jak można się było spodziewać, ludzie bezmyślnie przełowili rzeki. Człowiek może zarzucać wędkę bez końca i kupić sobie najbardziej błyszczące przynęty, ale to na nic, bo ryb, dzięki którym można by podtuczyć swój chudy portfel, po prostu brakuje.

To pierwsza rzecz, którą mówi mi Paul Hutch, kiedy spotykamy się w barze tego popołudnia. Mamy dobić targu, ale mój towarzysz postanawia mnie przy okazji czegoś nauczyć. Dlaczego ludzie nieustannie mają poczucie, że muszą prawić mi kazania o tym, jak żyć? Mam dwadzieścia pięć lat! Wygląda na to, że jeśli w danej rozmowie nie biorą udziału prawdziwe dzieci, do każdego poniżej trzydziestki starsi zaczynają się zwracać per „synu”, „dziecko” albo „chłopcze”. „Prawdziwi dorośli” najwyraźniej muszą czuć się ważni. Nie mam zamiaru podtrzymywać tego typu wyobrażeń ani pompować niczyjego ego. Takie traktowanie sprawia, że robi mi się niedobrze – zupełnie jakby mój żołądek próbował sam się strawić. Nie jestem niczym

„chłopcem” i nie reaguję na „synu”. Nie będę nikomu zastępować zmarłego dziecka.

W jednej z ciemnych łoży za nami ktoś pali papierosa. Nie znoszę tu przychodzić i z całego serca nienawidzę szemranych stałych bywalców tego miejsca. Wszystko w barze Evergreen jest zrobione z tandetnego zielonego plastiku i ciemnego drewna. Podejrzewam, że właściciele chcieli, by ich lokal przypominał chatę w kurorcie narciarskim, wewnątrz przywodzi jednak na myśl zubożałą wersję Oktoberfest – z przewagą pijanych starych oblechów i zaledwie kilkoma biuściastymi pannami podającymi spienione piwo.

Wokoło wiszą zdjęcia ośnieżonych gór – plakaty te mają mniej więcej tyle lat co ja. Wiem to na pewno, bo na naszej górze nie było porządnej pokrywy śnieżnej od dobrych piętnastu lat, a już od pięciu nie zebrało się wystarczająco dużo chętnych, by udostępnić ją turystom. W przeszłości po szkole obsługiwałem wyciągi narciarskie na różnych stokach, pracowałem przy nich nawet w lecie, kiedy ludzie z doliny mieli ochotę wyjechać na szczyt i pochodzić po górach w temperaturze niższej niż czterdzieści pięć stopni. Teraz wmawiam sobie, że przynajmniej nie muszę się użerać z upierdliwymi turystami – niektórzy zachowywali się, jakby nigdy wcześniej nie widzieli na oczy drzewa, albo naciskali jednocześnie gaz i hamulec, zjeżdżając z gór krętą drogą. W ogóle za nimi nie tęsknię.

Jedyne, czego mi brakuje, to wypłata.

Hutch wygląda, jakby przeżuł i strawił go koń, i tak też cuchnie. Przez jakiś czas pracował w jednej z agencji turystycznych, które umożliwiły turystom wjazd do Wielkiego Kanionu na osłach. Park narodowy został jednak zamknięty i właściciel agencji musiał przenieść wszystkie zwierzęta z powrotem do Flagstaff, a w końcu je sprzedać. Hutch stracił pracę, ale podejrzewam, że żona byłego pracodawcy pozwala mu nocować w dawnych stajniach.

Hutch siedzi w barze już od wielu godzin i wygląda dość niewyraźnie. Kiedy wchodzę do ciemnego pomieszczenia, podnosi mętny zagubiony wzrok jak kurczak, który po raz pierwszy wystawia łebek z jajka. Jego zbyt długie, przeredzone włosy są z tyłu niechlujnie związane rzemykiem.

Chcąc przejść od razu do rzeczy, podsuwam mu zwitek pogniecionych pieniędzy, który wygląda na dużo zasobniejszy, niż jest w rzeczywistości. Od tak dawna płacę tylko dziesięcio- i dwudziestodolarowymi banknotami, że żyję w przeświadczeniu, iż większych nominałów już nie drukują.

– Nie chodzi o to, że w ciebie wątpię, synu – mówi Hutch, wbijając wzrok w dno swojego kufła. – Ale to nie jest takie proste, jak się wydaje.

Powinienem słuchać go uważniej. Jeśli ktokolwiek wie coś na temat tej roboty, to właśnie on. Stary Hutch

przez sześć miesięcy usiłował zostać łowcą nagród – pamiątką po tej wątpliwej przygodzie jest poparzona, okaleczona dłoń z czterema palcami. Starzec rozpowiada, że dorwał go jeden z odmieńców, ale pamiętając o tym, jak kiedyś udało mu się podpalić dwie przyczepy, bo zasnął z papierosem w ręce, raczej w to wątpię. On jednak robi, co może, żeby coś na swoim nieszczęściu ugrać. Dzięki kalekiej dłoni zdobywa współczucie zatrzymujących się w Evergreenie przyjezdnych i co za tym idzie darmowe drinki. Czasem udaje mu się też wydębić jakieś drobne, kiedy stoi z garnuszkiem na rogu Route 66 i Leroux Street, udając, mimo swojej białej gęby, że jest rdzennym wojskowym weteranem z okręgu Navajo Nation. Z jakiegoś powodu wydaje mu się, że jest lepszy od nas – pozostałych nieudaczników.

– Mogę prosić o kluczyki? – pytam. – Gdzie go zaparkowałeś?

Nie zwraca na mnie uwagi, nucąc rozbrzmiewający w głośnikach kawałek zespołu *The Eagles Take it Easy*, który puszczają tu w kółko zapewne tylko dlatego, że w tekście raz wspomniana jest Arizona.

Nie powinienem kupować od niego tego auta. Jestem pewien, że coś będzie z nim nie tak – w końcu jest starsze ode mnie. Ale to jedyny środek transportu, na jaki mnie stać, a muszę stąd uciec. Muszę się wydostać z tego miasteczka.

– Jeszcze jednego! – woła Hutch, uparcie usiłując zwrócić na siebie uwagę Amy, barmanki, która z całych sił stara się ignorować jego żalną obecność.

Rozmawiałem z nią kiedyś o nim. Hutch przedstawia sobą marny widok. Z wiekiem zepsuły mu się zęby, a policzki obwisły aż do szyi i teraz przypominają indyjskie korale. Ma dopiero czterdzieści pięć lat, ale wygląda jak narkoman, żywcem wyciągnięty z jednego z paradokumentalnych seriali policyjnych, które w kółko lecą w telewizji. A do tego jego oddech potrafi zwalić człowieka z nóg.

Kiedyś bardzo go lubiłem. Był znajomym mojego ojca, bo przywoził świeże warzywa do restauracji. Ale teraz... Nie wiem, jak to sensownie wyjaśnić. Stał się przeciwieństwem wzoru do naśladowania... A ja podążam jego śladami, i to w zawrotnym tempie. Jest czymś na kształt widma z przyszłości... Patrzę na niego i wiem, że jeśli się stąd nie wydostanę, sam zamienię się w starca, który nawet nie jest stary, ale śmierdzi, jakby regularnie po sobie lał. W faceta, który bez końca kręci się na barowym stołku jak na starej karuzeli na placu zabaw.

Hutch wyciąga z kieszeni kluczyki, ale kiedy po nie sięgam, gwałtownie nakrywa je palcami. Drugą dłonią chwyta mnie za rękę i wbija we mnie kaprawe, rozgorączkowane oczy.

– Bardzo ceniłem twojego ojca, Gabe, i wiem, że nie

tego dla ciebie chciał.

– Zdezercerował z tego świata, więc nie ma tu nic do gadania – mówię, wyrrywając mu rękę. – Zapłaciłem ci. Mów, gdzie zaparkowałaś.

Przez sekundę jestem pewien, że zostawił auto przed centrum handlowym i że będę musiał wlec się przez godzinę wzdłuż autostrady, żeby do niego dotrzeć. Hutch jednak wzrusza ramionami i w końcu mówi:

– Przy Wheeler Park od północnej strony. Na Birch Avenue.

Zsuwam się z wysokiego stołka, dopijając piwo, za które płacę piętnaście dolarów. Hutch cały czas patrzy na mnie w sposób, którego nie potrafię opisać. Po chwili milczenia mówi:

– Zapamiętaj sobie jedno: jeśli natkniesz się na kogoś, kto lubi tę robotę, bierz nogi za pas i wuj. Taki człowiek musi być potworem. Najprawdziwszym.

Nieśpiesznie ruszam w stronę centrum – przepraszam – „centrum starego miasta”. Mieszkańcy używają tej nazwy, jakby chcieli zaznaczyć, że Flagstaff ma jeszcze jedno ważniejsze, biznesowe centrum. Idę powoli, bo poranek jest piękny i słoneczny – pod bezchmurnym, błękitnym niebem świat zazwyczaj wygląda jeszcze bardziej beznadziejnie, ale nie dzisiaj.

Kątem oka widzę starą stację kolejową, gdzie razem z tatą kładliśmy na torach drobne monety i patrzyliśmy,

jak zostają zmiażdżone pod kołami pociągów. Pierwszy raz od wielu lat rozważam przejście na drugą stronę ulicy, żeby usiąść na jednej z ławek przy dworcu, tylko dlatego, że mam świadomość, iż już nigdy tego nie zrobię. Mógłbym jedynie na niej posiedzieć – nieliczne pociągi, które pozostały w użyciu, i tak się tu nie zatrzymują. Ostatnio bardzo często zajmowałem się nicnierobieniem. Siedziałem beczynnym, trwonilem czas, myślałem o pracy, ale jej nie szukałem. Podejrzewam, że w tym właśnie tkwi problem. W całym tym siedzeniu, które sprawia, że człowiek zaczyna się zastanawiać nad otaczającą go beznadzieją. Rozmyśla o parkach, które zamieniono w cmentarze, o restauracji taty, która po tylu latach ciągle stoi pusta, o przymusowej przeprowadzce do nowej przyczepy, bo ze ścian starej nie da się zmyć krwi.

Cholerny Hutch, myślę. Tata marzył tylko o jednym – żeby się stąd wyrwać.

Mijam zabite deskami sklepy. Kiedy byłem dzieckiem... Często używam tej frazy... „Kiedy byłem dzieckiem”. Czyli jakieś piętnaście lat temu. Czy kiedy ma się dziesięć lat, ciągle jest się dzieckiem? To pewnie bez znaczenia, ale wtedy ta część miasteczka została odnowiona dla turystów. Wiele znajdujących się tu budynków jest zabytkowa jak na standardy panujące w Arizonie. Wiem od taty, że większość z nich, włącznie z tym z czerwonej cegły z wieżyczkami, kiedyś była

hotelami. Teraz zamieniono je w sklepy, w których można kupić koraliki, magiczne kryształowe pierdoły wszelkiej maści z Sedony okrzykniętej ośrodkiem kultu New Age albo podróbki skamieniałego drewna. To właśnie takie przedsięwzięcia przetrwały krach gospodarczy.

Jestem tu dzisiaj jedynym spacerowiczem. Ruch samochodowy też jest niewielki, dzięki czemu mogę wychwycić okrzyki uczestników „manifestacji”, która odbywa się trzy przecznice dalej. Przez głowę przebiega mi myśl, żeby ją ominąć i pójść dłuższą drogą, ale uświadamiam sobie, że wtedy będę musiał przejść obok ohydneho muralu wykonanego na zamówienie miasta, na którego widok zawsze cierpła mi skóra. Jest to dzieło upamiętniające zmarłych. Przedstawia pięcioro dzieci bawiących się na ukwieconej łące. Jedno z nich siedzi na zwisającej z chmury huśtawce. Podpis pod obrazem głosi: „Ich placem zabaw jest niebo”. Jeśli ktoś chce jeszcze bardziej zohydzić sobie rodzaj ludzki, zapraszam do obejrzenia tego dzieła.

Przed ratuszem miejskim zebrała się liczna reprezentacja matek. Nic dziwnego, w końcu to dzień jak co dzień. Jeszcze kilka lat temu sądziłem, że może uda im się coś osiągnąć choćby dzięki wielkiej ilości domowych wypieków, jakie sprzedawały, by zebrać pieniądze na fundusz pod hasłem „Oddajcie nam dzieci”. Teraz jednak wydaje mi się oczywiste, że od początku

nie miały żadnych szans.

Schylam głowę i naciągam czapkę na oczy, ignorując korpulentną kobietę w za ciasnych „mamowatych” dżinsach i jasnożółtej koszulce z napisem „MATKI PRZECIWKO OBOZOM”, która pośpiesznie rusza w moją stronę.

– Podpisałeś petycję o uwolnienie dzieci? – pyta, podsuwając mi pod nos podkładkę z listą.

Raczej nie, proszę pani, myślę sobie.

– Chciałbyś ją podpisać? – nalega.

Równie bardzo, jak połknąć garść tłuczonego szkła.

– Czemu nie?

Bo nie jestem zwolennikiem wizji, w której kilka tysięcy małych odmieńców płacze się po kraju, wysadzając wszystko w powietrze.

Biorę od niej podkładkę z petycją i bazgram coś w jednej z pustych rubryczek z nadzieją, że to wystarczy, by się odczepiła. Nie rozumiem, czemu, mimo zwiększenia liczby członkiń, ruch matek zdaje się coraz mniej skuteczny. Choć powstała pochodna organizacja pod nazwą „Ojcowie przeciwko obozom”, wiem, że rodzicom nie udało się wydobyć od rządu żadnych informacji.

Podajrzewam, że protestujący wiedzą, jak żałośnie się prezentują. Jak kocia sierść na czarnym swetrze uparcie gromadzą się w tym samym miejscu, chociaż w ratuszu nie rezydują już żadni politycy. Od czasu do

czasu władze wysyłają tu kogoś z Phoenix, by się upewnić, że miasto nie pogrążyło się w chaosie, a jeśli tak się stało – by zabarykadować budynek. Rodzice po prostu nie potrafią przestać. Każdego dnia rozgrywają się tu te same sceny – matki i ojcowie rozmawiają ze sobą, przytulają się i płaczą, trzymając w dłoniach postrzępione fotografie swoich odmieńców. Ci, jak nazywa ich moja mama, „prawdziwi dorośli” marnują czas, czekając, aż sprawcy ich nieszczęścia okażą im łaskę. Jeśli naprawdę chcieliby coś osiągnąć, pojechaliby do Phoenix, do Waszyngtonu albo Nowego Jorku. Znaleźliby kryjówkę, w której zaszył się prezydent Gray, i kazaliby mu odpowiedzieć za jego czyny.

Ludzie ci wydają się nie zauważać, że odebrano im – nam wszystkim – ostatnie okruchy wolności. Obchodzą ich jedynie *dzieci, dzieci, dzieci*.

Mam ochotę nagadać pani Roberts, żeby przestała być pieprzoną hipokrytką, a pani Monroe, pani Gonzales i panu Hartowi uświadomić, że sami są sobie winni. Przecież tamtego dnia osobiście wysłali swoje „pociechy” do szkoły, a później razem z pozostałymi mieszkańcami stanęli za ogrodzeniem boiska, obserwując, jak ludzie w czarnych mundurach zaganiają je do autobusów. Teraz żałują. Zrozumieli to, co większość z nas podejrzewała od samego początku. Autobusy jechały w tym samym kierunku i na zawsze zabierały im dzieci.

Nie rozumiem jednego: rząd w kółko powtarza za pośrednictwem telewizji, gazet i radia, że jedynym ratunkiem dla odmieńców jest rehabilitacja w obozach. Władze wykorzystują nawet syna prezydenta jako dowód, że ich system działa. Młody Gray jeździ po kraju, jakby był na jakimś tournée, którego oczywistym celem jest zmiękczenie ludzi i zachęcenie ich do odsyłania dzieci. Pojmuję ten zamysł. Mija jednak rok, a po nim następny – coraz więcej dzieci zostaje zarażonych i wysłanych do obozów przez zdesperowanych rodziców. Jednocześnie nie słyhać o żadnych „wyleczonych”, którzy by je opuszczali. Sytuacja nie zmienia się ani po trzech, ani po czterech, ani nawet po pięciu latach. Gdyby rodzice zamiast biegać bez celu jak wystraszone, tchórzliwe kurczaki, zebrząc o ostatnie okruchy nadziei, uważnie obserwowali sytuację od samego początku, z kilometra wyczuliby kłamstwo. Przenigdy nie zarejestrowaliby swoich dzieci w internetowej bazie danych, którą rząd przekształcił w sieć służącą łowcom nagród i żołnierzom SSP do odnajdywania ostatnich znajdujących się na wolności odmieńców.

Minęło sześć lat. Dzieci nie wracają. Nawet jeśli miałyby kiedyś zostać oddane rodzicom, to czy którykolwiek z „prawdziwych dorosłych” chciałby, by żyły w tym, czym stał się nasz kraj? W świecie, w którym gazety ociekają kłamstwami, w którym każdy krok i każde słowo są śledzone? Gdzie ludzie pracują

całe życie, by w końcu poddać się świadomości, że nigdy do niczego nie dojdą i że lepsze jutro nie nastanie?

Chcę, by po prostu przyznali, że sami pozwolili Grayowi odebrać sobie potomstwo oraz skraść nadzieję na lepsze jutro. Mam dość uzalania się nad dziećmi, kiedy reszta narodu też cierpi.

Chcę, by sobie uzmysłowili, że straciliśmy więcej niż kilkoro odmieńców.

Chcę, żebyśmy wszyscy przestali kłamać.

Bak starej niebieskiej furgonetki jest pusty. Też mi niespodzianka. Muszę pieszo przemierzać całe miasteczko i żebrać po ćwierć litra benzyny od znajomych – ludzie patrzą na mnie, jakbym ich prosił, żeby się podpalili. Wiem jednak, do kogo się zwrócić. Co przezorniejsi zachowali wszystkie przydziały paliwa, które Gwardia Narodowa rozdawała dawniej przy starej stacji benzynowej. Pamiętam, jak pewnego razu sam czekałem pod billboardem przedstawiającym dużego zielonego dinozaura, drżąc z zimna na dwudziestostopniowym mrozie. Wzdłuż autostrady ustawili się wtedy w kolejce wszyscy mieszkańcy miasteczka. Niestety jakieś dwa lata temu Gwardia po prostu przestała się tu pojawiać, a wraz z nią zniknęły dostawy paliwa.

I wiele innych rzeczy.

Stare wesołe miasteczko zostało przekształcone w

parking dla przyczep i kemping. Gdyby dziesięć lat temu ktoś poprosił mnie, bym wyobraził sobie świat, w którym tysiące ludzi zostanie stłoczonych na kilku kilometrach kwadratowych, bo ich domy zajmą banki, to nie wiem, czybym potrafił... Pewnie pomyślałbym, że to pomysł wzięty z jakiegoś kiepskiego filmu.

Hutch twierdzi, że za jedno dziecko można dostać około dziesięciu tysięcy dolarów. Dziesięć patyków! Jedno czy dwoje nie pozwoli mi jeszcze na kupno prawdziwego domu, ale powinno wystarczyć, by opłacić któryś z dwuletnich kierunków studiów. I dostać dyplom. Potem być może uda mi się znaleźć stałą pracę w innym mieście, co w dalszej perspektywie umożliwi mi zakup nieruchomości. Gdybym tu został, nie miałbym wyboru.

Trzy razy sprawdzam, czy zamknąłem auto, po czym ruszam przez błotnistą trawę do domu. Od razu wyczuwam omiatające mój nowy nabytek ciekawskie spojrzenia. Kalkulujące. Wiem coś o tym. Wszyscy coś o tym wiemy. Łatwiej jest coś ukraść, niż na to zarobić... Nie jestem jednak pewien, kto chciałby trzydziestoletniego paliwożłopa, z którego wielkimi płatami obłazi farba.

Zresztą zabawię tylko chwilę, więc i tak nie będą mieli czasu, żeby mi go zwinąć. *Wpadnę i wypadnę*, powtarzam sobie przez całą drogę. *Wpadnę i wypadnę*.

Drzwi naszej przyczepy skrzypią, kiedy je otwieram, i z grzechotem się za mną zatraskują. To dar od Stanów

Zjednoczonych Ameryki, ale gdziekolwiek spojrzeć, widnieją znaczki MADE IN CHINA. Aluminiowe ścianki są tak cienkie, że wginają się do środka, gdy powieje mocniejszy wiatr.

Wewnątrz ledwie mieści się stojące przy tylnej ścianie piętrowe łóżko i małe kuchnia, ale mama znalazła sposób, by wcisnąć tu miniaturowy telewizorek – umieściła go na składanym stole, przy którym niby mieliśmy jeść. Nikt nie ma gotówki ani czasu, żeby tworzyć nowe programy telewizyjne, więc w kółko lecą w nim wiadomości albo powtórki. Kiedy wchodzę, emitują właśnie odcinek *Koła fortuny* z lat dziewięćdziesiątych. Czasem wolę, kiedy nie ma prądu – tylko wtedy mama wyrywa się z transu na tyle długo, by zjeść coś czy umyć włosy.

Mama nawet nie podnosi na mnie wzroku. Od razu zauważam, że znowu przyczepiła na lodówce oryginał mojego wezwania do wojska. Notorycznie je zrywam, a ona na nowo je tam umieszcza. Bez końca jej tłumaczę, dlaczego nic z tego nie będzie, a ona niezmiennie mnie ignoruje.

– Werbownicy z SSP znowu nas odwiedzili – mówi, nie odrywając oczu od telewizora. – Powiedziałam im o twoim problemie, na co stwierdzili, że powinieneś się stawić na powtórne badania. Żeby się upewnić.

Zamykam oczy i liczę do dwudziestu, ale przestaję, bo przypominam sobie, że tak właśnie robił tata.

Zmierzwiłone blond włosy mamy wyglądają, jakby od tygodni ich nie szczotkowała. Ma na sobie bladoróżowy szlafrok zarzucony na podkoszulek z Myszką Miki i dzinsy – czyli to, w czym spała zeszłej i poprzedniej nocy. Otwieram lodówkę, tylko żeby potwierdzić swoje obawy. Jak zwykle świeci pustkami. Wczoraj wieczorem zjedliśmy na kolację ostatnią puszkę zupy, więc jeśli rano mama nie wyszła po przysługującą jej paczkę z przydziałem...

– Dlaczego czuć od ciebie dym? – pyta niespodziewanie. – Byłeś w barze? W starym barze taty?

Podchodzę do łóżka, biorę z niego mały plecak i zarzucam go sobie na ramię.

– Wychodzę.

– Słyszałeś, co powiedziałam o SSP, dziecko? – drąży i na powrót wlepia wzrok w telewizor. Jej głos zrobił się ostatnio naprawdę bardzo, bardzo cichy.

– A ty słyszałaś, co ci powtarzam za każdym razem, kiedy poruszasz ten temat? – Chociaż staram się do tego nie dopuścić, puszczają mi nerwy. – Nie przyjmą mnie ani do SSP, ani do Gwardii Narodowej.

Mama pewnie ma nadzieję, że jeśli będę wystarczająco zdesperowany, to w końcu mnie przyjmą. Ale na każdym z pięciu spotkań z oficerami od werbunku powiedziano mi, że uszkodzone podczas gry w piłkę nożną, poskręcane śrubami kolano mnie dyskwalifikuje. Próbowałem wszystkiego – podrabiania papierów,

ubiegania się w innym okręgu. Nie udało się. Siły mundurowe mają świadomość, że ludzie się do nich garną, bo praca w ich szeregach jest jedyną gwarancją zarobku w tym kraju. Żeby każdego miesiąca na konto wpływała ci pewna gotówka, musisz odsłużyć cztery lata w piekle.

– Masz tylu kolegów – ciągnie mama. – Czy któryś nie może ci pomóc?

Ze znajomymi nie mam kontaktu od czterech lat – odkąd zaciągnęli się do służby. Wygląda na to, że po założeniu czarnego munduru człowiek zostaje wciągnięty w czarną dziurę. Wiem, że żyją, jedynie dzięki temu, że rząd wciąż przysyła ich rodzinom czeki i dołącza do ich racji żywnościowych po kilka dodatkowych puszek.

– Wyjeżdżam – mówię, ściskając mocniej pasek plecaka. Kiedy się poruszam, kluczyki dzwonią mi w kieszeni, i to na tyle głośno, że mama podnosi na mnie wzrok.

– Coś ty zrobił? – oburza się, jakby miała do tego prawo. – Wydałeś pieniądze na studia? Kupiłeś tę furgonetkę?

Wybucham śmiechem. Prawdziwym, szczerym śmiechem. Osiemset dolarów to za mało, żeby nawet myśleć o studiach, a co dopiero na nie zdawać. Studiowanie już wcześniej nie było tanie, ale teraz stało się absurdalnie kosztowne. Nie wspominając o tym, że w

kraju działa zaledwie kilka uczelni. Zamknięto uniwersytety w Arizonie i większość w Nowym Meksyku oraz Utah. Wydaje mi się, że w Kalifornii wciąż parę działa i że w Teksasie otwarty jest jeden z kampusów. Teksas by mi wystarczył. Nie łudzę się, że będzie mnie stać na któryś z kilku prywatnych uniwersytetów z górnej półki mieszczących się na wschodzie kraju, takich jak Harvard.

Wystarczy, że schwytam dwóch odmieńców. A jeśli się okaże, że jestem w tym dobry, tym lepiej. To, co zarobię na zdobyczach numer trzy, cztery i pięć, zaoszczędzę. Problem polega na tym, że mama i reszta mieszkańców Flagstaff ma wąskie spojrzenie na świat. To ludzie, którzy są zbyt zadowoleni z kart, jakie rozdało im życie, by dopuszczać do siebie myśl, iż można zagrać o większą pulę.

Nie rozumieją, że inwestuję w swoją przyszłość – zbyt wiele zainwestowali w to miasto.

– Jesteś pieprzonym głupcem – syczy mama, kiedy kopniakiem otwieram drzwi. – Jeszcze będziesz chciał wrócić. Sam sobie nie poradzisz. Życie pokaże ci, gdzie twoje miejsce, ale wtedy nie będziesz miał czego tu szukać! – Kiedy groźby nie działają, robi się złośliwa. – Jesteś kompletnym idiotą i skończysz tak samo jak ojciec.

Odprowadza mnie aż do samochodu, wykrzykując wszystkie obraźliwe słowa, które jest w stanie

przywołać. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że to ja przez cały czas o nią dbałem i że beze mnie zginie.

Nie obchodzi mnie to. Naprawdę. Odkąd tata wpakował sobie kulę w łeb, nie mam rodziców.

Z oblewającego nas morza brudnych srebrnych przyczep wysuwają się ku nam pełne ciekawości spojrzenia. I dobrze. Chcę, żeby wiedzieli, że odchodzę. Chcę, żeby zobaczyli, jak robię coś, na co nikt przede mną się nie odważył. Niech opowiadają o tym swoim sąsiadom. Niech pełnym podziwu szeptem rozsiewają plotki po okolicy. Niech patrzą, jak znikam w oddali. Kiedy będą mnie wspominać za kilka lat, tylko jeden fakt będzie miał znaczenie.

To, że udało mi się wyrwać.

2

Po dwóch tygodniach przemierzania autostrady międzystanowej i narażania własnego tyłka, żeby złowić jakąś zdobycz, jestem zmuszony przyznać, że Hutch miał rację przynajmniej co do jednego: łowcy nagród poważnie przetrzebili populację odmieńców.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie spodziewałem się, że podejść do pierwszego lepszego drzewa, potrząsnę nim i kilkoro dzieci tak po prostu spadnie mi pod nogi. Już parę lat temu się zorientowałem, że tych, którym udało się uniknąć schwywania, jest bardzo niewiele i że rozproszyli się po całym kraju. To prosty rachunek. Jeśli umiera dziewięćdziesiąt osiem procent populacji, a pozostałe dwa procent dzieli się na siedemdziesiąt pięć procent zamkniętych w obozach i dwadzieścia pięć procent przebywających na wolności, to łowcy mają do zlokalizowania... znikomą liczbę.

Naprawdę znikomą.

Wychodzę z pokoju i trzaskam za sobą drzwiami, ignorując pogardliwe spojrzenie staruszki, która zarządza miejscem, w którym mieszkam. Jest na zewnątrz i sprawdza wodomierze, by się upewnić, że żadne z nas nie zużywa więcej wody, niż zostało mu przydzielone – nie można mieć do niej pretensji, w końcu za wynajem płacimy tylko pięćdziesiąt dolarów

tygodniowo. Staruszka ma dwóch synów w średnim wieku, którzy pomagają jej zapanować nad hołotą, która przepływa przez jej zacny przybytek. Mężczyźni zbierają czynsz i upewniają się, że nikt nie handluje tu własnym ciałem czy innymi niedozwolonymi towarami. Znak na zewnątrz głosi, że to motel, ale od krachu gospodarczego pokoje funkcjonują jako tymczasowe mieszkania do wynajęcia.

Budynek powstał w latach sześćdziesiątych i najwyraźniej od tego czasu nie był remontowany. To dwupiętrowy kompleks w kolorze brudnego brązu pozbawiony wszelkich wygód i ozdobiony jedynie kilkoma stojącymi tu i ówdzie doniczkami z umierającymi kwiatami – lato tego roku jest tak upalne, nawet wysoko w górach, że los tych roślin był przesądzony.

– Wrócisz, żeby zapłacić za ostatnie dwa tygodnie?!

– woła za mną staruszka, kiedy otwieram furgonetkę.

Ma na imię Beverly. Ja jednak mówię na nią Phyllis, bo ciągle nosi koszulę do gry w kręgle swojego zmarłego męża, na której wyhaftowano jego imię: „Phil”.

– Wrócę wieczorem – odpowiadam. Nie mam wyjścia. Cottonwood jest dość bezpieczne i raczej sielskie, ale Phyllis jest tak bezwzględna, jeśli chodzi o kasę, że zupełnie bym się nie zdziwił, gdyby mnie wywaliła i znalazła kogoś innego na moje miejsce. Muszę dostarczyć jej czynsz do zmroku. Od czasu do

czasu łapię ją na tym, że mi się przygląda, i zaczynam się martwić, że staruszka posiada jakieś zdolności psioniczne, dzięki którym widzi, jak chudnie mój portfel.

Macham jej uprzejmie na pożegnanie, a kiedy wraca do swojego zajęcia, zginam wszystkie palce poza środkowym.

Pięknie. Każę spadać staruszce.

Nie jestem głupi. Zaoszczędziłem wystarczająco dużo pieniędzy, żeby doczekać do pierwszej wypłaty – pod warunkiem, że dostanę ją w przeciągu miesiąca albo dwóch. Nie przemyślałem jednak dokładnie, jak zabrać się do roboty. Hutch dał mi swój sfatygowany podręcznik dla Agentów Służb Odławiania Zbiegów Psi, ale wszystkie urządzenia, które były do niego dołączone, przepił, kiedy wrócił do Flagstaff. To najgorszy etap stawania się łowcą – zanim człowiek zostanie zarejestrowany w systemie, musi znaleźć dziecko i je zgłosić. Następnie dostaje tablet podłączony do sieci zawierającej profile odmieńców. I dopiero wtedy może zacząć zbierać punkty i piąć się w górę w rankingach. Przeczytałem w podręczniku, że za punkty uzbierane za oznaczanie na mapie miejsc, w których widziano dzieci, albo za udzielanie kolegom po fachu pomocnych wskazówek rząd daje łowcom większy dostęp do różnych rzeczy, na przykład do internetu.

Z internetem byłoby mi sto razy łatwiej, myślę i skręcam na autostradę. Kontrolka paliwa miga. Od kilku

dni. Opracowałem jednak pewien system i sądzę, że starczy mi benzyny jeszcze na dwa wypadki.

Nazywam to systemem, żeby poprawić sobie samopoczucie, bo tak naprawdę szukam wskazówek o odmienicach w najbardziej prymitywny z możliwych sposobów. Zajeżdżam do jednego z pobliskich małych miasteczek takich jak Wickenburg, Sedona albo Payson. Parkuję samochód w miejscu, gdzie nikogo nie powinno podkusić, żeby go ukraść albo spuścić z baku benzynę. Następnie wysiadam i włóczę się po okolicy, obowiązkowo przechodząc obok szkół, bo tam zawsze znajduję ogłoszenia o zaginionych dzieciach przypięte do grzechoczących ogrodzeń z metalowej siatki. Rodzice najwyraźniej wierzą, że dzieci ciągle kręcą się po miejscach z przeszłości i że pewnego dnia zobaczą taki plakat i pomyślą: „Kurczę, chyba naprawdę czas wracać do domu. Mama pewnie strasznie za mną tęskni”. Zdzieram ogłoszenia jedno po drugim, żeby później porównać widniejące na nich podobizny z tymi w sieci łowców. „Później” to znaczy, kiedy w końcu będę miał dostęp do sieci. Po tym, jak wreszcie uda mi się znaleźć jakieś dziecko i je zgłosić.

Jeszcze jeden dzień, myślę. Wytrzymaj do końca tygodnia. Potem zamierzam zacisnąć zęby, wydać ostatnie pieniądze na benzynę i pojechać do Phoenix. Więcej osiedli, więcej opuszczonych budynków, miliony rodzin – moje szanse wzrosną. Przyznaję jednak, że

trochę mnie to uwiera. Nie podoba mi się, że już muszę zmieniać swój plan.

Jedynym, czego mam ostatnio w nadmiarze, jest gówniany pech.

Postanawiam pojechać autostradą międzystanową na południe w kierunku Camp Verde tylko dlatego, że nie jechałem tędy od tygodnia. Przy drodze znajduje się jednak działająca stacja benzynowa, której prawdziwa wartość tkwi w tym, że przepływa przez nią nieprzerwany strumień ciężarówek, a wraz z nimi plotek.

Wyłączam radio i klimatyzację, żeby oszczędzać paliwo, i odkręcam szybę, wpuszczając do środka trochę świeżego powietrza i słońca. Tata zwykł mówić, że pozytywne nastawienie i dobre myśli wymagają wysiłku, w przeciwieństwie do pozwolenia, by wciągnął nas wir przewidywania najgorszych wyników swoich działań i zamartwiania się o rzeczy, które się jeszcze nie wydarzyły. Teraz widzę to wyraźniej niż kiedykolwiek, bo wystarczy, że pomyślę o tacie, i łapię doła. Zaczynam podążać drogą, którą przebył, i rozumieć, dlaczego to zrobił. Upokorzyła go utrata restauracji, wiem o tym, ale to nie wszystko – dobiła go świadomość, że lokal jest całym jego życiem. Kiedy mu go odebrano, nagle okazało się, że nie ma nic innego. Nie było go stać, żeby się przeprowadzić gdzie indziej, nie wspominając o tym, że miał na utrzymaniu mamę i mnie. Uwięziliśmy go i wybrał dla siebie jedyną drogę ucieczki, jaką widział.

Nauczyłem się, że kiedy zaczynam się tak czuć, muszę wyjść i to rozchodzić. Albo otworzyć okno w aucie i pozwolić, by zapach trawy i ziemi wywiały mi z nozdrzy oblepiającą je woń cieplej krwi.

We wstecznym lusterku niespodziewanie dostrzegam czerwoną terenówkę, na której widok opuszczam mroczną drogę swoich myśli i wracam na tę pod kołami. Podnoszę oczy na odbicie auta, bo jego kierowca jedzie jak szatan – jakby chciał uciec przed rozciągającymi się za nim pełnymi cieni górami. W kolejnej sekundzie przelatuje obok i gwałtownie skręca na pas przede mną. Moja furgonetka cała się kołysze, bo oto z impetem wyprzedza mnie jeszcze beżowy sedan ścigający pierwszy samochód – odruchowo zjeżdżam na pas awaryjny, na którym zostaję jeszcze długo po tym, jak oba auta znikają mi z oczu. Serce wali mi jak szalone. Cholerni piraci drogowi skutecznie podnieśli mi ciśnienie, a przy tym ciągle mam przed oczami obraz taty leżącego twarzą do ziemi w starej przyczepie. Zanim udaje mi się dojść do siebie, mija dłuższa chwila.

Kretyni. Przecieram sobie czoło. Pieprzeni kretyni. Jeśli chcieli się ścigać, mogli wybrać jakąś boczną drogę, na której nie byłoby ryzyka, że w kogoś uderzą. Wprawdzie nasze trzy samochody były jedynymi, jakie widziałem na drodze od wyjazdu z Cottonwood, ale są pewne zasady. Przypadkowa śmierć w wypadku samochodowym spowodowanym nadmierną prędkością z

pewnością nie należy do mojego planu.

– Rusz tyłek – mruczę do siebie. – Na litość boską, ale z ciebie baba...

Włączam migacz, żeby wjechać na główny pas ruchu, i dopiero po chwili orientuję się, jakie to głupie. Jeśli tylko bym chciał, mógłbym jechać samym środkiem autostrady. Robię to, żeby zobaczyć, jakie to uczucie. I wiecie co? Jest naprawdę meganiesamowicie! Jakby cała rozciągająca się przede mną dolina należała do mnie, jakbym mógł...

Wciskam hamulec i zatrzymuję auto.

Czerwona terenówka leży na dachu na pasie trawy oddzielającym od siebie linie drogi biegnące w przeciwnych kierunkach. Dymi, a jej dwa koła ciągle kręcą się w powietrzu. Beżowy sedan stoi w poprzek szosy. Wyskakują z niego dwaj mężczyźni ze strzelbami noszący tandetne myśliwskie kurtki moro. Wyglądają identycznie poza tym, że jeden jest wyższy. Obaj mają długie, sztywne ciemne włosy wystające niedbale spod czapek oraz brody i wielkie brzuchy. Przez sekundę chce mi się śmiać. Ale wtedy zauważam dziewczynkę.

Ma burzę ciemnych loków i nosi podkoszulek na ramiączkach i dżinsy. Po jej lewej stronie pojawia się niska blondynka w za dużej czarnej bluzie z kapturem. Za nimi kuli się jeszcze młodsza dziewczynka – Azjatka z długimi, rozpuszczonymi czarnymi włosami, która usiłuje zawrócić do terenówki. Blondynka nie pozwala

jej jednak i przyciąga ją do siebie.

Mężczyźni nagle unoszą strzelby, opierają je sobie na ramionach i jeden z nich wymierza w tylną szybę czerwonej terenówki, rozpryskując ją w drobny mak. Słyszę krzyk dziewczynek i nie wiem czemu, ale wysiadam z samochodu... Teraz cała piątka wbija we mnie wzrok.

– Zabieraj się stąd! – wrzeszczy jeden z mężczyzn i celuje we mnie. Podnoszę ręce do góry, bo to jedyne, co przychodzi mi do głowy. Sytuacja wydaje mi się zupełnie nierzeczywista. Widzę dzieci i nastolatkę pierwszy raz od sześciu lat i mój umysł nie bardzo pojmuje, co się dzieje.

Dziewczynki rzucają się do ucieczki. Kątem oka widzę, jak pędem przecinają autostradę. Starsza dotyka maski jednego z samochodów porzuconych przy drodze, na co jego przednie światła ozywają i rozlega się warkot silnika. Porusza ręką, jakby strzepywała z auta kurz, i pojazd niespodziewanie przecina pas zieleni, pędząc prosto na łowców nagród.

Jasna cholera.

Człowiek niby wie ze słyszenia, co potrafią te dzieciaki, ale gdzieś w głębi serca podejrzewa, że plotki są trochę przesadzone. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś jednym mrugnięciem okiem podpalił dom, prawda? A ta dziewczyna, ona... ona...

Łowcy muszą odskoczyć na boki, żeby uniknąć

uderzenia, ale szalona siła, która ożywiła wrak, nagle wygasa i auto zatrzymuje się powoli na przeciwległym pasie awaryjnym. Nie sądzę, by dziewczynki chciały uderzyć w mężczyzn. Podejrzewam, że miało to tylko zbić napastników z tropu. Jestem przerażony i po części zadziwiony, że to podziałało.

– Uciekają! – krzyczę do mężczyzn i wskazuję na dzieci, które pędzą w kierunku lasu.

Łowcy rzucają się w pościg, posyłając mi takie spojrzenia, jakby to była moja wina. Nie wiem, może mają rację. Może też powinienem zacząć gonić dziewczynki i spróbować zgarnąć jedną z nich dla siebie. Podręcznik nie podaje, że to zakazane ani że grożą za to punkty ujemne. Podejrzewam jednak, że to ryzykowne, bo rozwścieczeni łowcy mogą zacząć ścigać mnie.

Być może mają przy sobie inne rzeczy, które mi się przydadzą.

Żeby było jasne: nie jestem z tego dumny. Ale i tak zaglądam do ich auta przez zalaną słońcem szybę od strony pasażera, żeby sprawdzić, czy nie zostawili na wierzchu czegoś cennego. W miejscu na kubek leży niewielki zwitek pieniędzy, ale nie widzę żadnych urządzeń. To było do przewidzenia.

Drzwi są otwarte, co jeszcze ułatwia mi podjęcie decyzji. Wsuwam pieniądze do tylnej kieszeni i salutuję w kierunku łowców. Mówię sobie, że nie zrobi im to różnicy. Zgarną trzydzieści tysięcy, jeśli schwytają te

dziewczynki. Te bestie.

Podręcznik podaje, żeby nie myśleć o nich jak o istotach ludzkich. Akcja z „magicznym” odpaleniem samochodu i ciśnięciem go w mężczyzn powinna mi to ułatwić, ale nie jestem do końca pewny, czy potrafię się do tego zastosować. Jeden z cytowanych w książce łowców powiedział, że myśli o nich jak o psach – szczeniakach. Jak o żywych stworzeniach, które różnią się od nas, ale mają swoje potrzeby. Zacznę od tego. Szczeniaki – nie, szczeniaki są za słodkie. Zostanę przy odmieńcach.

Na domiar złego, kiedy przechodzę obok wywróconej terenówki, naprawdę słyszę skomlenie psa. Przysięgam. Mówię sobie, że nie mogę się zatrzymać i że powinienem jak najszybciej się stąd zabierać, zanim brodacze wrócą i zauważą brak pieniędzy. Mój wzrok prześlizguje się jednak na ciemny kształt zajmujący przednie siedzenie wywróconego auta. Przez wybitą przednią szybę widzę chłopaka, którego szyja jest ułożona pod nienaturalnym kątem. Długie dredy okalają jego wbitą w dach samochodu głowę, ale nie zasłaniają wyszczerbionych kawałków szkła tkwiących w jego krtani. Po drodze ciągle spływa mu krew, ściekając po ciemnej skórze do otwartych, zastygłych oczu.

Jeszcze nie ostygło.

Ciało. Dzieciak... bestia.

Pamiętam, jak mając dziesięć lat, wygłupiałem się z

dwoma kolegami za restauracją taty. Pewnego popołudnia jeden z nas wpadł na genialny pomysł, by przewrócić na bok kubły ze śmieciami i spróbować je przeskoczyć na rowerze tak jak chłopaki, których widzieliśmy w którymś z durnych programów na MTV. Kiedy przewróciliśmy pierwszy z nich, okazało się, że leży za nim zdechły kot. Do końca życia nie zapomnę tego widoku – jego szare futro było skołtunione i oblepione krwią, a tylna połowa ciała złamana najpewniej przez samochód. Wszyscy trzej gapiliśmy się na niego, próbując podejść jak najbliżej i nie zwymiotować. Przez wiele godzin.

To właśnie ten kot był pierwszym, o czym pomyślałem później tej nocy, kiedy znalazłem ciało taty.

Co takiego jest w brutalnych, okropnych obrazach, że tak nas pociągają? Przed incydentem z kotem nigdy nie zetknąłem się ze śmiercią, ale kilka lat później nastąpiła fala pogrzebów i przyzwyczaiałem się do tego, że wszyscy roztrząsają szczegóły każdego zgonu. W nadawanych dwadzieścia cztery godziny na dobę wiadomościach przestano udawać, że na świecie zdarzają się inne rzeczy. Wszyscy uzależniliśmy się od wieści o setkach, tysiącach, milionach zgonów. Byliśmy jak ćpuny, chcieliśmy sprawdzić, jak bardzo można się w to zanurzyć. Szczyt nastąpił podczas bombardowań stolicy. Przez dwa tygodnie nie chodziłem do pracy, przedawkowując wiadomości na CNN.

Następuje chwila ciszy, po której rozlega się dudnienie i dostrzegam małą, bladą rączkę uderzającą w tylną szybę. Moje nogi zaczynają się poruszać, biec na drugą stronę auta z wyrwanymi drzwiami.

Na tylnej kanapie za siedzeniem kierowcy znajduje się uwięziona dziewczynka. Ma zakrwawioną twarz i patrzy na mnie z głębi wraku. Wisi do góry nogami i usiłuje się uwolnić z pasa bezpieczeństwa. Siedzenie kierowcy wygląda na złamane na pół i wygina się w tył tak, że dziewczynka nie może się poruszyć. Przez chwilę zaczynam wątpić w swój pierwszy osąd i podejrzewam, że jednak patrzę na chłopca. Czarne włosy sterczą mu na wszystkie strony jak u jakiegoś stwora z bajki i dopiero później zauważam, że dziecko – odmieniec – ma na sobie jasnorożową sukienkę.

Dochodzę do wniosku, że pas pewnie się zablokował. Moja ręka, jakby bezwiednie, sięga w kierunku dziecka – *odmieńca* – i nagle orientuję się, że chwytam za pas i próbuję wyrwać go siłą. Gramolę się do środka, żeby złapać go pod lepszym kątem, i widzę, jak na twarzy dziewczynki ulga ustępuje irytacji, jakby chciała mi powiedzieć: „Hej, palancie, gdyby to działało, już dawno by mnie tu nie było”.

Jej twarz robi się różowa z wysiłku, ale udaje się jej wyzwolić prawą nogę. Wyciąga ją, jak najdalej się da, i palcem u stopy wskazuje na martwego chłopaka na przednim siedzeniu. Na przypięty do jego biodra nóż.

Cholera, myślę, czemu nie mam przy sobie noża? Dziewczynka najwyraźniej sądzi, że jestem idiotą, bo następnie pokazuje ręką na pas na wysokości swojej talii, udając, że go przecina.

– Dobra, przecież kumam – burczę po nosem.

Ignoruję pojawiający się w mojej głowie głos, który brzmi podejrzanie podobnie do głosu mojego taty. Pyta: „Co ty wyprawiasz?”. I zauważa: „Kradzież pieniędzy to jedno, ale jeśli myślisz, że ci goście puszczą ci płazem coś takiego...”.

Ale czy nie wystarczy im trójka odmieńców? Muszą być tacy chciwi i zgarnąć całą czwórkę? Ja potrzebuję tylko jednego – na rozkręcenie interesu. To nierozsądne, że nie sprawdzili, czy ktoś jeszcze nie przeżył, zanim popędzili za pozostałymi. Wygląda na to, że miałem ją – to – odnaleźć, że takie było moje przeznaczenie. W głębi serca czuję, że mam rację. Wiem, że tak łatwa zdobycz już nigdy mi się nie przytrafi. To prezent od losu, specjalnie dla mnie, i zamierzam go sobie wziąć.

Ci goście nie zawahaliby się, żeby mi ją odebrać. Oczywiście nie mogą być do końca pewni, ale skąd mam wiedzieć, że po prostu nie strzeliliby mi w tył głowy i podeptawszy moje zwłoki, nie zabrali jej sobie?

Potrzebuję tego odmieńca. Potrzebuję jedzenia i paliwa. I pieniędzy dla Phyllis, by mogła dniami i nocami podlewać trawniki.

Z całej siły walczę z pasem, ale ciągle nie mogę go

przeciąć. Dostrzegam, że dziewczynka ma na szyi czerwoną pręgę, którą jej odcisnął, kiedy wyrzuciło ją do przodu.

– Nie ruszaj się! – parskam, bo wije się i wykręca jak schwytna ryba, która chce wrócić do wody.

W końcu materiał pruje się i puszcza. Dziewczynka jest tak drobna, że wysuwa się z pasa i opada na pognieciony dach samochodu. Musi przeczołgać się przez złamane siedzenie kierowcy. Widzę, że jej wzrok zaczyna się przesuwać w stronę zwłok chłopaka, i nie wiem czemu – nie mam pojęcia, co mną kieruje – ale nie chcę, żeby go zobaczyła.

– Chodź do mnie! Dasz radę! – Wyciągam do niej rękę, w które praktycznie się osuwa.

Jest lekka jak piórko – składa się z cienkich, delikatnych kosteczek i śliskiej od krwi skóry. Wyciągam ją z auta, usiłując odchylić szyję, za którą mnie obejmuje, jakby chciała mocno się przytulić.

– Na litość boską, dziecko, przestań! Nie zamierzam cię ratować! – mówię. – Jesteś aż taka głupia?! Przestań!

Staram się wymazać spod powiek obraz jej twarzy i uspokoić skrawek serca, z którego wyłazi tłumione współczucie. „Myślcie o nich jak o bezpańskich kundlach – mówi podręcznik. – Muszą zostać zamknięte, a jeśli będą zbyt agresywne, uśpione”.

Kopniak w krocze sprawia, że przed oczami stają mi gwiazdy. Niespodziewanie małe stópki w dziecięcych

różowych tenisówkach zaczynają wierzgać i kopać mnie w klatkę piersiową i nogi. Tracę równowagę i oboje zwalamy się na ciepły asfalt. Dziewczynka szybko wstaje, a ja zwijam się na ziemi, trzymając się za krocze i usiłując się nie rozpłakać.

Cholera... Muszę wstać, muszę się podnieść, muszę...

Kląkam i rzucam się na nią, ale mała żmija jest tak drobna, że z łatwością odskakuje, a moje ręce chwytają powietrze. Ruszam na nią, podejrzewając, że będzie chciała mnie zgubić i zniknąć pośród niskich, suchych zarośli, które porastają dolinę.

Zamiast tego jednak dziewczynka wpada na beżowy samochód łowców i opiera obie ręce na masce. Auto wydaje z siebie niski jęk, taki jak skrzypce, na których grałem w podstawówce – kiedy nie były nastrojone. Chwytam ją w pasie i odwracam. Tym razem jestem już mądrzejszy. Zarzucam ją sobie na ramię, dając jej do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli mi się podda.

– Hej! – Ciszę przerywa odbijający się od pustej drogi krzyk.

Odwracam się na pięcie, szukając jego źródła, i widzę, jak jeden z brodaczy biegnie w naszą stronę. Dostrzegam błysk metalu, zupełnie, jakby światło puszczało do mnie oko. To właśnie stwierdza mój mózg. Nie podejrzewa, że to broń, i nie każe mi porzucić dziewczynki i wiać do auta, ale myśli sobie: „O, iskierka!”.

– Zostaw to! – wrzeszczy mężczyzna.

Kula trafia w powyginany wrak terenówki, sprawiając, że podskakuję. Widziałem to już kiedyś – to znaczy broń – w telewizji, na filmach i w grach komputerowych. Ale w prawdziwym świecie jest głośniejsza. I bardziej groźna.

Stoję jak wryty. Nie jestem w stanie przesunąć jednej stopy przed drugą. Mój umysł jak szalony krąży wokół myśli o tym, co się ze mną stanie, jeśli w końcu nie wezmę się w garść. *Dlaczego nie mam broni? Czemu nie zaoszczędziłem kasy i nie kupiłem sobie pistoletu przed wyjazdem?*

Czuję się jak kretyn. Jak dziecko z podstawówki, które przyszło na egzamin na studia.

Łędzwie przeszywa mi ostry ból – dziewczynka wbija mi w nerki kościsty łokieć. Zaciskam zęby i w końcu ruszam przed siebie. Pędzę jak szalony. Wiem, że za żadne skarby nie wolno mi się zatrzymać. Brodacz jest tuż za nami. Kiedy dopadam samochodu, widzę, jak mężczyzna się zatrzymuje i przyjmuje pozycję – wiem, co to oznacza, jeszcze zanim unosi broń i bierze nas na muszkę. Ciskam dziewczynkę do kabiny i nurkuję za nią. Jeden, drugi, trzeci wystrzał. *Boże, ten facet chce mnie zabić.*

Usiłuję zapanować nad drżeniem ciała i nie myśleć o dziewczynce, która właśnie zapina pasy na siedzeniu obok mnie. Próbuję przypomnieć sobie, który pedał to

gaz, a który hamulec, ale po chwili zaczynamy się cofać, zamiast jechać w przód. Kule uderzają w tylny zderzak. W lusterku wstecznym widzę, jak brodacz odskakuje na bok spod moich kół. W końcu łapię kontakt z rzeczywistością i zaczynam gwałtownie zawracać samochód i zmieniać biegi. Wciskam gaz do dechy – furgonetka wydaje z siebie jęki i piski protestu, ale robi, co jej każę. Widzę, jak spomiędzy zwęglonych drzew wyskakuje drugi brodacz, wymachując rękami. Pierwszy ściąga z ramienia strzelbę i unosi celownik do oka, ale jesteśmy już zbyt daleko. W końcu odrywam oczy od lusterka i uświadamiam sobie, że znowu jadę po drodze.

Uciekliśmy.

Nie rozumiem tego, ale z ulgi zaczynam się śmiać. W tym, co się dzieje, nie ma nic zabawnego. Absolutnie nic. Kontrolka paliwa miga jak czerwony diabeł, a brodacze mają auto, które jest jakieś dwadzieścia lat młodsze od mojego. Mijają jednak kolejne minuty i uświadamiam sobie, że nas nie gonią. Już dawno by nas dopadli.

Nagle sobie przypominam.

Spoglądam na prawo, na dziecko – na odmieńca, który siedzi obok, wgapiając się w szybę. Jest w tej dziewczynce coś... Nie chcę powiedzieć, że wygląda na złamaną przez życie, bo to oczywiste. Wszystkie takie są, w przeciwnym razie nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji. Chodzi o coś więcej... Jej twarz jest zupełnie

pozbawiona wyrazu. Dziewczynka patrzy przez okno na las, który mijamy, ale go nie widzi. Dostrzegam w szybie jej odbicie – pod nosem i na czole ma zakrzepłą krew – i czuję się, jakby w dalszym ciągu mnie kopała.

Jakby ono mnie kopało. Nawet tego nie umiem sobie poukładać. To nie jest człowiekiem. Jest żywym stworzeniem z potrzebami, ale nie jest jednym z nas.

– Zrobiłaś coś z ich samochodem? – pytam, zaskoczony chrypą, jaka pobrzmiwa w moim głosie. Przez chwilę martwię się, że krzyczałem, choć zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Dziewczynka kiwa głową.

– W takim razie jaki masz kolor? – W głębi duszy nie chcę wiedzieć, bo zdaję sobie sprawę, że nie jest Zielona. Naprawdę mam szczęście. Nawet nie potrafię się połapać w głupim systemie kolorów. Próbowali go oprzeć na starej skali zagrożenia terrorystycznego. W myśl zasad takich jak: „pomarańczowy poziom zagrożenia oznacza, że człowiek powinien obawiać się bardziej niż zwykle, że ktoś wysadzi w powietrze samolot, którym leci”. Przypominam sobie, że Czerwony oznacza, iż dzieciak jest w stanie wywoływać eksplozje i rozniecać pożary, Niebieski, że może siłą woli przenosić przedmioty, a Żółty...

Cholera. Żółty to zdolności mieszania w elektronice. Unieruchamianie samochodów. A niech to.

– Jesteś Żółta? – pytam.

Kiedy kiwa głową, zdaję sobie sprawę, że z jej ust nie wyszło ani jedno słowo.

– Co? Jesteś za dobra, żeby ze mną rozmawiać?

Ściąga ciemne brwi i patrzy na mnie, jakby mówiła: „Udajmy, że mnie o to nie zapytałeś”.

– Nie możesz? – naciskam. – Nie chcesz?

Nie odpowiada, a ja powstrzymuję się od dalszych pytań. Jej milczenie mi pasuje. Łatwiej mi będzie traktować ją jak odmieńca, jeśli nie będzie marudzić, że jest głodna, i nie zacznie się drzeć wniebogłosy. A poza tym, w ogóle mnie to nie obchodzi. Nic a nic. Obok siebie mam dziesięć tysięcy dolarów.

– Istnieje choć cień ryzyka, że ci goście ruszą za nami w pościg? – pytam, bo to jedyne, co teraz ma znaczenie.

Nie. Odpowiedź maluje się na jej twarzy. Widzę na niej też odrobinę dumy.

Dopiero po dobrych ośmiu kilometrach orientuję się, że jeśli unieruchomiła samochód łowców, może też z łatwością poradzić sobie z moim. Jeśli dobrze pamiętam, podręcznik podaje, że Żółci mogą wpływać na elektronikę tylko za pomocą dotyku, więc muszę jedynie unieruchomić jej ręce i nie pozwolić uciec. Skręcam na pas awaryjny i zaciągam ręczny. Na moje „wyposażenie” składa się tylko sportowa torba pełna przeróżnych gratów, które udało mi się odkupić od policjanta zwolnionego ze służby podczas krachu gospodarczego.

Kajdanki, plastikowe zaciski i paralizator, który nie działa, ale moim zdaniem stanowi niezły straszak.

Ręce ciągle mi się trzęsą – czuję się zażenowany i zawstydzony. Sytuacja robi się jeszcze gorsza, kiedy się okazuje, że nie potrafię posługiwać się zaciskami i dziewczynka musi sama je sobie założyć. Czuję, jak milcząco mnie ocenia, przeciągając płaski koniec zacisku przez koniec ze szlufką. Wsuwa dłonie w pętelkę i zaciska, chwytając płaską końcówkę w drobne białe zęby i pociągając. Kiedy kończy, ostrożnie kładzie dłonie na kolanach i spogląda na mnie wyczekująco, jakby pytała: „I co dalej?”.

– Ja cię nie ratuję. – Przypominam jej, ale w głębi serca zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle by tego chciała.

3

Utknąłem, i to dosłownie.

Muszę zatankować, żeby dojechać do posterunku SSP w Prescott – to ich jedyna siedziba w północnej Arizonie – ale stacja benzynowa znajduje się w leżącym na południe stąd Camp Verde. By tam dotrzeć, musiałbym wrócić tą samą drogą, ryzykując natknięcie się na łowców nagród, których dopiero co obrobiłem. Jeśli dziewczynka spaliła elektronikę w ich samochodzie, prawdopodobnie wciąż stoją w tym samym miejscu. Albo idą wzdłuż drogi po pomoc.

Koniec końców ląduję z powrotem w Cottonwood u Phyllis. Nie bardzo pamiętam, którądy tu dojechałem, kiedy zaczęło zachodzić słońce ani jak zaparkowałem. Samochodowy zegar wskazuje osiemnastą. Wygląda na to, że od dwóch godzin siedzę w ciszy obok dziewczynki, analizując możliwe rozwiązania sytuacji, w której się znalazłem.

Jutro. Do jutra łowcy zmyją się z okolic Camp Verde, a posterunek SSP będzie otwarty. Zatankuję furgonetkę, odstawię dziecko do Prescott, gdzie odbiorę sprzęt i nagrodę. Dziś zostajemy tutaj. Dziewczynka może i ma zdolności Psi, ale jestem od niej większy i chyba uda mi się zamknąć ją od zewnątrz w łazience. Ostatecznie mogę jej popilnować przez jedną noc.

Czekamy kolejne dwadzieścia minut, zanim korzystający z wieczornego chłodu mężczyźni i kobiety wałęsający się po chodniku skończą rozmawiać i dopalą papierosy. Następnie chwytam dziewczynkę za ramię i wyciągam z auta przez drzwi od swojej strony.

Przebiegamy parking i przez krótką chwilę martwię się, że być może trzymam ją za mocno. Muszę jednak przyznać, że moja mała towarzyszka nie dość, że wygląda, jakby ledwie skończyła się bić, to jeszcze nie ma żadnego problemu z dotrzymaniem mi kroku.

Walczę z zamkiem do pokoju, raz po raz wsuwając do czytnika lichą plastikową kartę – kontrolka cały czas pali się na czerwono. Rozglądam się wokoło, przekonany, że zaraz zmaterializuje się przede mną gospodyni albo któryś z jej synów z wyciągniętą po czynsz ręką, żądając zapłaty w zamian za reaktywację klucza. Zanim jednak dochodzi do kłopotliwej konfrontacji, dziewczynka dotyka dłońmi czytnika, sprawiając, że kontrolka zupełnie gaśnie. Słyszę, jak zamek odskakuje, i nagle to ona wciąga nas do ciemnego, dusznego pomieszczenia.

W porównaniu z moją starą przyczepą motelowy pokój wygląda jak pałac Buckingham. Widząc jednak, jak dziewczynka rozgląda się wokoło, czuję niewielki, ale niepokojący ucisk w żołądku. Im dłużej tak stoi, omiatając wnętrze ciemnymi oczami, tym bardziej czuję się zażenowany. Nie zaścieliłem łóżka przed wyjściem.

Podła, kiczowata purpurowa narzuta leży zwinięta na podłodze. Na stolikach nocnych stojących po obu stronach dużego łóżka zalegają opakowania po jedzeniu, puszki po napojach i kilka butelek po piwie.

Dziewczynka bierze głęboki oddech, wdychając stęchłe powietrze. Wygina usta w zboląły grymas i zaczynam się zastanawiać, czy nie wróciło do niej jakieś złe wspomnienie. Stojący za nią stół ugina się pod stertą brudnych ciuchów, czekających na pięć dolarów, których potrzebuję na pranie. Nie palę, nigdy nie paliłem i nie zamierzam, ale sąsiedzi z obu stron kopcą jak kominy i mógłbym przysiąc, że smród jakimś cudem przesiąka przez oddzielające nas papierowe ściany.

Popycham dziewczynkę do przodu, w stronę łazienki.

– Umyj się – rzucam i w tej samej chwili rozlega się pukanie. Dziewczynka wchodzi do łazienki i zamyka za sobą drzwi, wyglądając przy tym na dziesięć razy bardziej opanowaną ode mnie. Nie ruszam się z miejsca, by się upewnić, że nie przyszły jej do głowy żadne głupoty, ale pukanie zamienia się w łomot.

Wyglądam przez wizjer i moim oczom ukazuje się gęba syna Phyllis. Jest mniej więcej dwadzieścia lat ode mnie starszy, a pod jasnożółtą koszulką polo chowa jakieś pięćdziesiąt kilo nadprogramowego tłuszczu. Uchylam drzwi, nie ściągając łańcuszka – bardziej żeby dać mu do zrozumienia, że go nie wpuszczę, niż żeby go zatrzymać.

– Tak? – Wertuję zakamarki umysłu w poszukiwaniu jego imienia.

Rozpoznaję go jako tego z braci, który naprawdę łysieje – drugi wygląda, jakby siwe włosy podcinała mu matka. Wiem, że stara się zrozumieć, jakim cudem dostałem się do środka.

– Jeśli nie zamierzasz zapłacić, musisz się stąd dzisiaj wynieść – mówi. – Wydawało mi się, że postawiliśmy sprawę jasno.

– Zdobędę pieniądze – podejmuję, ale nagle przypominam sobie o zwitku banknotów w tylnej kieszeni. Nie zdążyłem ich przeliczyć, zanim je ukradłem, więc zaczynam teatralnie odliczać właściwą sumę. W tej samej chwili dochodzą nas odgłosy rozklekotanego kranu łazienkowego. Mężczyzna podnosi gwałtownie wzrok, usiłując wcisnąć się między drzwi i framugę.

– Wiesz, że jeśli śpi tu ktoś jeszcze, należy się dopłata – warczy.

– Nie martw się, ona nie zostaje na noc – mówię, unosząc porozumiewawczo brwi. – Wiesz, jak jest.

Mężczyzna zupełnie nie wie, jak jest. A biorąc pod uwagę wiek mojego „gościa”, to najobrzydliwsze kłamstwo, jakie kiedykolwiek wyszło z moich ust.

– Proszę, masz stówę – mówię, chowając dwieście pozostałych dolarów do kieszeni. *Nieźle*. – Jutro zejdem wam z oczu.

Gość gapi się na dwudziestki w mojej dłoni, jakby to były pieniądze z gry Monopol.

– Skąd to wzięłeś? – pyta, chwytając kasę i jeszcze raz ją przeliczając. – Czy ty przypadkiem nie robisz tu czegoś podejrzanego? Może powinniśmy o czymś wiedzieć?

– Dostałem zlecenie jako mechanik – mówię, kładąc rękę na sercu. – Słowo honoru.

– Nie rozpoznałbyś honoru, nawet gdyby napluł ci w twarz – burczy mężczyzna i nie odrywa wzroku od drzwi łazienki po przeciwnej stronie pokoju, pod którymi widać poruszający się cień. Gapi się na nie z nagłym zainteresowaniem, jakby się nad czymś zastanawiał, i w końcu dociera do niego, co miałem wcześniej na myśli. – Skończyła z tobą?

Cóż, przynajmniej nie jestem tu największą szumowiną.

– Jest już zarezerwowana. – Słowa smakują jak wymiociny. Nagle nie ma dla niego znaczenia fakt, że dziwki bez wątpienia podpadają pod kategorię „czegoś podejrzanego”. – Przykro mi, stary.

Pieniądze znikają w jego wielkiej dłoni.

– Masz się stąd zwinąć jutro do południa. Zrozumiano?

– Jasne – przytakuję. Obawiam się, że zaczeka, żeby rzucić okiem na mojego „gościa” i odprowadzić go na parking. *Boże.* – To wszystko? W takim razie żegnam.

Nie daję mu szansy na odpowiedź, zatraskuję mu drzwi przed nosem i przekręcam zamek. Widzę, że stoi tam jeszcze przez kolejne kilka minut, ale w końcu przełyka zniewagę i odchodzi.

Opieram się o drzwi i sprawdzam, co zostało mi z zakupów spożywczych, które zrobiłem dwa tygodnie temu. Mam paczkę chipsów, zupkę chińską, bochenek chleba i masło orzechowe. Dopiero kiedy się orientuję, jak mało mam jedzenia, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem głodny. Mógłbym spróbować coś zamówić, ale to luksus, który z pewnością ściągnąłby na mnie niepotrzebną uwagę pozostałych mieszkańców motelu. Nie mogę pojechać do sklepu, bo ryzykowałbym, że dziewczynka ucieknie. Wystarczy jej kanapka. Wszystkie dzieci lubią masło orzechowe.

Chyba że mają na nie alergię.

Dobra. W takim razie dostanie zupkę. Muszę tylko usiąść z dala od niej, na wypadek gdyby chciała chlusnąć mi gorącym rosołem w twarz.

Pochylam się i przelewam reszkę wody z plastikowego pojemnika do wyszczerbionego kubka, żeby podgrzać ją w mikrofalówce. Następnie zalewam wrzątkiem znajdującą się w styropianowym pojemniku zupkę, czując, jak wraz z dosięgającym moich nozdrzy zapachem aromatu drobiowego ściska mnie w żołądku.

A co jeśli jest wegetarianką?

Cholera, uspokój się! Nie może być wegetarianką.

To żywe stworzenie z potrzebami, ale nie istota ludzka.

To żywe stworzenie z potrzebami, ale równocześnie odmieniec.

Na dodatek ono jest w łazience od dobrych piętnastu minut, cały czas puszczając wodę. Przez chwilę rozważam, czy można się utopić w umywalce pełnej wody, po czym przekraczam pokój dwoma długimi susami. Zamek jest zepsuty, odkąd się tu wprowadziłem, i dziewczynka nie ma czym zablokować drzwi.

Pierwsze, co rzuca mi się w oczy, to zakrwawione zwitki papieru toaletowego na blacie. Woda jest odkręcona do oporu i odpływ, który nie radzi sobie ze zwykłym strumieniem, zupełnie się zablokował. Woda przelewa się z płytkiej umywalki i ścieka mi do stóp. Lampka nad lustrem pograża wszystko w ponurym blasku.

Dziewczynka siedzi na podłodze wciśnięta między toaletę a prysznic z głową demonstracyjnie odwróconą od drzwi. Ramiona ciągle jej drżą, ale jedyny dźwięk, jaki z siebie wydaje, to żalosne pociąganie nosem. Kiedy pociera twarz, zdaję sobie sprawę, że nie zdjąłem jej z nadgarstków zacisku, i czuję, że gdzieś na dnie żołądka zaczyna mi się rodzić panika.

Kiedy w końcu odwraca do mnie twarz, jedynym dowodem na to, że płakała, są jej mocno zaróżowione oczy i rumieńce. Widzę, że rozcięcie na jej czole

zaczyna się goić, ale rozdrapała ranę na brodzie.

– Zostań tu. Nie ruszaj się – mówię.

Mam małą apteczkę, którą kiedyś odkupiłem od pielęgniarki szkolnej. Podejrzewam, że nie wolno jej było sprzedawać swoich zapasów, ale jako że byliśmy ostatnią klasą kończącą szkołę, pewnie nie widziała sensu w udawaniu, że jeszcze kiedyś się jej przydadzą.

Opatrunki są absurdalnie wielkie, ale powinny się nadać. Mówię sobie, że warto je zużyć, bo SSP mogą potrącić mi z nagrody za „koszty medyczne”, ale tak naprawdę po prostu ciężko mi patrzeć na poranioną twarz dziewczynki.

Wyciągam opatrunek z opakowania, a żarówki na lustrem zaczynają brzęczeć i migać. Patrzą na małą zza swojej ciemnej grzywki.

– Jak mnie porazisz, skopię ci tyłek.

Dziewczynka w końcu pozbywa się przerażającego beznamietnego spojrzenia, prychna i przewraca oczami.

Może nie jestem specjalnie delikatny, ale uwijam się szybko, a ona cierpliwie wszystko znosi. Nic nie mówi. Muszę przełknąć irytację, którą mnie to napełnia. Byłoby mi dużo łatwiej, gdyby stawiała opór albo starała się coś wykombinować. Mam wrażenie, że czeka z ucieczką, aż zupełnie nawalę, i śmieje się w duchu z mojej niezdarności. Nabija się ze mnie tak jak wszyscy mieszkańcy mojego rodzinnego miasta.

– Zrobiłem kolację – mówię głównie po to, żeby

wypełnić ciszę. Patrzy na mnie i wykrzywia usta, jakby chciała się uśmiechnąć, umacniając mnie w przekonaniu, że uważa mnie za błazna.

Może postępuję głupio i nie powinienem tak po prostu dawać jej jeść. Może musi sobie na to zasłużyć dobrym sprawowaniem? Nie sądzę, że się mnie boi. A powinna... Musi wiedzieć, co ją czeka.

Kiedy siedzi i powoli zjada zupę – którą zostawiłem na uprzątniętym stole, żeby nie pochlapała mi rzeczy – wyciągam nóż, który zabrałem martwemu chłopcu, i urządzam małe przedstawienie, obracając go w palcach. Jedzenie ze skrępowanymi rękami wymaga jednak od niej takiej koncentracji, że zostaje zupełnie zignorowany.

Dziewczynka kończy, a ja czuję pod skórą piekącą frustrację i zażenowanie. Chwytam ją za ramię, ściągam z krzesła i prowadzę w kierunku łóżka, obmyślając plan. Pociągam ją w dół i zmuszam, by usiadła na podłodze, starając się nie reagować na grymas bólu malujący się na jej twarzy.

– Nie ruszaj się – warczę i zostawiam ją samą na krótką chwilę, by wyjąć z torby kajdanki. Ma tak cienkie kostki, że mogę przypiąć jej nogę do schowanej pod pogniecioną narzutą ramy łóżka.

Dziewczynka ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku i czuję, że robię się czerwony – tak jak zawsze, kiedy było mi wstyd i chciało mi się płakać, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Zadziera głowę, a za duży opatrunek

na brodzie nadaje jej jeszcze żałośniejszy wygląd.

– Przestań – ostrzegam ją, czując, jak gniew zaczyna krążyć mi w głowie niczym rój szerszeni. – I tak podzielisz los swoich znajomych, więc te głupie miny na nic ci się nie zdadzą. *Przestań!*

Boże, nie znoszę beks. Widząc, że zaczyna się wykrzywiać, odwracam się na sekundę. Zastanawiam się – pojawiające się w mojej głowie wątpliwości zaczynają mnie naprawdę wkurzać – czy w łazience płakała ze strachu przed tym, co z nią zrobię, czy przez to, co stało się z jej towarzyszami. Tak naprawdę nie wiem, jaki spotkał ich los.

Czemu wszyscy razem podróżowali w taki sposób? Chwytam leżący na stoliku nocnym podręcznik i zginam miękką okładkę. Może ta druga Azjatka to jej siostra? Ale czy siostra porzuciłaby ją tylko po to, żeby chronić własny tyłek? To podłe. Czy to właśnie robią z nimi te zdolności? Zmieniają ich w zwierzęta, które kierują się tylko zasadą, że przetrwają najsilniejsi...

PRZESTAŃ!

Jakby sytuacja była jeszcze niedostatecznie niezręczna, mój sąsiad z prawej, spod A2, najwyraźniej sprowadził sobie towarzystwo na dzisiejszy wieczór. Czuję, jak rama jego łóżka tłucze przez ścianę o moją, i sięgam po pilota od telewizora, zanim rozlegną się jęki. Szum, szum, szum, wiadomości, powtórki... Ustawiam na jakimś teleturnieju i robię bardzo głośno. Cholerna

dziewucha, powinienem po prostu ją zostawić i liczyć, że trafię na jakiegoś odmieńca bliżej Phoenix. Swoim zachowaniem zagrała mi na emocjach. Udaje, że jest niewinna i słodka, żeby mnie przekabacić. Doprowadziła do tego, że czuję, że nie mogę jej narażać na tak wulgarne doświadczenia.

W podręczniku musi być opisana opcja bezpośredniego odbioru odmieńca przez SSP od łowcy. Zaoszczędziłoby mi to jazdy na posterunek do Prescott. Nie podoba mi się, że mój umysł ciągle się zastanawia, czy powinienem dać jej jedną z poduszek albo koc oraz czy istnieje ryzyko, że dziewczynka prześle ładunek elektryczny przez ramę łóżka i zabije mnie we śnie.

W książce jest krótka wzmianka o tym, co reprezentuje dany kolor, ale nie znajduję w niej nawet słowa o przyczynie „mutacji”, jak elokwentnie nazywana jest choroba. „Zdolności psioniczne różnią się od siebie nasileniem i precyzją w zależności od danego osobnika”. Fantastycznie. Oczywiście los podsuwa mi osobnika, który jest na tyle silny i precyzyjny, żeby rozwalić samochód.

To dość zadziwiające, że choć trwa to już tyle lat, ciągle nie wiadomo, co wywołało chorobę ani jak ją wyleczyć. Byłoby wspaniale, gdyby Gray pamiętał, że powinien naprawiać również system gospodarczy, a nie pompować pieniądze wyłącznie w badania nad wirusem, który być może nie istnieje. Jakie znaczenie ma to, czy

ocalimy „kolejne pokolenie Amerykanów”, jeśli rząd ledwie zapewnia byt temu, które żyje obecnie? Nikt nie chce mieć dzieci, bo automatycznie ryzykowałyby ich utratę za kilka lat. Wskaźniki urodzeń lecą na łeb na szyję. Nie istnieje imigracja ani emigracja, bo władze są przerażone wizją rozprzestrzeniania się wirusa. Mówią tylko o przyszłości, nie o teraźniejszości. Nie poruszają kwestii naprawiania tego, co dzieje się dziś. „Jak Ameryka ruszy do przodu po stracie całego pokolenia?”, dopytuje prezenter radiowy. „Jeśli dzieci z Psi uda się zrehabilitować, jak zniosą ponowne włączenie do społeczeństwa?”, pyta „New York Times”. „Czy to koniec czasów?”, lamentują pastorzy z telewizji.

Może wszyscy wyginieemy i to odmieńcy odziedziczą świat. Czemu nikt nie chce zasugerować takiej możliwości?

Jak można się było spodziewać, w podręczniku nie ma nic o odbieraniu dzieci przez SSP, chociaż znalazłem następujący fragment: „Jeśli czujesz, że jesteś w niebezpieczeństwie, a dziecko z Psi, które ścigasz, jest sklasyfikowane jako Czerwone albo Pomarańczowe, możesz za pośrednictwem sieci poprosić o wsparcie znajdujących się w pobliżu innych łowców nagród. Siły Specjalne Psi ani rząd Stanów Zjednoczonych nie rozstrzygają żadnych sporów dotyczących nagród, które mogą z takiego postępowania wyniknąć”.

W moim przypadku to wykluczone, bo wciąż nie

mam żadnego dostępu do sieci łowców nagród.

Staczam się z łóżka i omijając dziewczynkę, ruszam w kierunku zapasów jedzenia i miniaturowej lodówki. Rozsmarowuję masło orzechowe na zeschniętym chlebie i mówię sobie: *Jutro będziesz się objadał stekami. Pizzą. Kupisz sobie, na co tylko przyjdzie ci ochota.* Teraz jednak czuję się wykończony na samą myśl, że od rana znowu będę musiał się z tym wszystkim użerać. Nie pociesza mnie nawet wizja, w której wyrzucam w górę stertę banknotów, pozwalając, by spadły na mnie jak deszcz, i podskakując na lichym motelowym łóżku.

Zamiast pić piwo, równie dobrze mogłem łyknąć tabletki na sen. Za czasów szkoły średniej w piątek po meczu footballu mogłem obalać jeden browar za drugim, a później nie przespać całej nocy i obejrzeć wschód słońca z dachu domu swojego kumpla Ryana. Te chwalebne czasy już jednak minęły. Bezpowrotnie.

Nie chcę myśleć o Ryaniu. Ani o pozostałych. Zostawili mnie, zniknęli w świecie czarnych mundurów i tajemnic. Nie mam im tego za złe. Przysięgam. Czasami jednak jest mi przykro, że żaden z nich o mnie nie zawalczył. Trudno być tym, który zawsze zostaje, który niezmiennie jest ostatni.

Teleturniej się kończy, a ja powoli zasypiam z rozłożonym na piersi podręcznikiem. Musiałem się zdrzemnąć, bo kiedy odzyskuję świadomość, dobiega mnie charakterystyczny śpiew Judy Garland, a z ekranu

w moje zmrużone oczy patrzą jej wielkie brązowe. Z głośników płynie znana piosenka o tęczy, kropkach cytryny, ptaszkach i innych miłych rzeczach. Aktorce grającej Dorotkę towarzyszy mały piesek, a w tle rozciąga się szerokie niebo w kolorze sepii. Kiedy znowu otwieram oczy, jej dom porywa tornado.

Błądzą dłonią wokół łóżka, szukając pilota, a Dorotka otwiera drzwi i wkracza do krainy Oz w technikolorze.

Film wydaje mi się ciekawszy, niż zapamiętałem. Kiedy miałem siedem czy osiem lat, tata zmusił mnie, żebym obejrzał go razem z nim. Myślałem wtedy jedynie o tym, że efekty specjalne są zupełnie beznadziejne w porównaniu z tymi z filmu akcji, który widziałem w kinie poprzedniego wieczora. Wszystko mnie irytowało, nawet drżenie głosu Dorotki.

W chwili, kiedy na ekranie pojawia się różowa bańka i wychodzi z niej dobra wróżka w falbaniastej sukni, czuję, że łóżko podskakuje – przykuta do niego dziewczynka kręci się, żeby zbliżyć się do ekranu.

Podpieram się na łokciach i przyglądam się jej w ciemności. Zmieniła pozycję i teraz pokracznie klęczy na kolanach. Podejrzewam, że kajdanki wbijają się jej w skórę, ale jej to najwidoczniej nie przeszkadza. Jej twarz odbija się w szklanym ekranie i jeszcze zanim mieszkańcy magicznej krainy zaczynają śpiewać i maszerować, widzę, jak otwiera szeroko oczy i delikatnie

rozchyła usta, wydając ciche westchnienie. Jest całkowicie pochłonięta, jakby nigdy wcześniej nic podobnego nie widziała. To przecież niemożliwe. Wszyscy oglądali *Czarnoksiężnika z Oz!*

Film całkowicie zajmuje dziewczynkę, a ja, szczerze mówiąc, jestem zbyt leniwy, żeby sięgnąć po pilota, który spadł na podłogę. Zostawiam więc włączony telewizor i gaszę lampkę nocną. Staram się zasnąć, ale nie mogę. Nie chodzi o to, że film jest za głośno czy ekran emituje za dużo światła – tak naprawdę też mam ochotę obejrzeć bajkę. Mój mózg chce odgadnąć, dlaczego tata tak bardzo się upierał, żebym dotrwał do zakończenia. Tak było ze wszystkim, co kochał. Szukam go w tym filmie – frazy, które zapożyczał, przesłania, którego się dopatrzył... I naprawdę zaczynam rozumieć, że ten cukierkowy świat musiał go uszczęśliwić w czasach, kiedy ledwie zwlekał się z łóżka.

Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę przywoływać taty, bo i tak czuję się wystarczająco podle. Wirus czy cokolwiek innego, co wywołało epidemię, uderzył w dzieci w bardzo młodym wieku, ale mój tata borykał się z chorobą przez całe sześćdziesiąt lat. W dobrych chwilach, w złych i tych okropnych po utracie restauracji. Aż jej ciężar całkiem go przygniótł.

Chce mi się śmiać, kiedy bohaterowie filmu zaczynają wygłaszać morały, stwierdzając, że wszystko, czego szukali, przez cały czas tkwiło w nich samych. Że

to w nas mieszka dobro i siła. Chcą, żebyśmy uwierzyli, że mrok i zło to coś, co pochodzi ze świata zewnętrznego. Ja jednak wiem, że to nieprawda, i myślę, że dziewczynka z Psi podziela moje zdanie. Czasem ciemność mieszka w nas i czasem wygrywa.

„Teraz wiem, że mam serce – mówi Blaszyński Drwal, kiedy zamykam oczy i odwracam się tyłem do ekranu – bo zostało złamane”.

Dziewczynka ma koszmary. Pierwszy raz słyszę jej głos i ze strachu aż cierpie mi skóra. Siadam prosto i szukam noża, który zostawiłem na stoliku. Mam wrażenie, że do pokoju dostał się zdziczały pies albo jeden z kotów, które codziennie widuję, jak grzebią w motelowych śmietnikach. Mój umysł jest ciągle pogrążony w stanie, który nie jest nawet półsnem. Przypominam sobie o dziewczynce dopiero, kiedy prawie się o nią potykam. Nie przychodzi mi do głowy, że dobiegający mnie odgłos może być wydawany przez człowieka. To niemożliwe. Dźwięki, które wydostają się z jej ust, w niczym nie przypominają słów – to wywołujące skręt kiszki przerażające jęki.

– Neeee, proooszęęę, nieeee.

Staję nad nią. Przez dłuższą chwilę nie ruszam się z miejsca – i myślę: *Obudź ją, Gabe. Po prostu ją obudź.* Dochodzę jednak do wniosku, że to granica, której nie powinienem przekroczyć. Oznaczałoby to, że mi zależy.

A mam ją gdzieś. Bez względu na to, co zrobi albo czego nie zrobi i jak bardzo mi wszystko utrudni, nie zacznie mi na niej zależeć.

Łóżko skrzypi, kiedy z powrotem na nie padam. W głębi duszy mam nadzieję, że hałas ją obudzi i uwolni mnie od konieczności podjęcia decyzji. Mija godzina, a po niej kolejna, a ja leżę tak nieruchomo, jak tylko potrafię. Przez całą noc słucham jej krzyków i mam wrażenie, że to kara, na którą zasłużyłem.

Grube motelowe zasłony rozsuwają się przy zgrzycie metalowego karnisza i poranek wdziera się do pokoju oślepiającą eksplozją białego światła. Słońce wpada do ciemnego dusznego pomieszczenia tak nagle, że reakcja mojego ciała wyprzedza reakcję mózgu. Zsuwam się z łóżka i chwiejnie staję na nogach, zasłaniając dłonią oczy.

Cholera, jasna cholera! Zaspałem. Która jest godzina? Gdzie jest...

Moją uwagę niespodziewanie przykuwa kilka szczegółów. Na lewo od drzwi zauważam leżącą na sportowej torbie stertę czystego prania – dochodzi mnie zapach świeżości i zdezorientowany robię krok w jej stronę. Kątem oka dostrzegam jednak drobną postać siedzącą przy stole przed dwoma talerzami, na których leżą pączki z cukrem pudrem, żelki owocowe i precle. Na środku blatu stoi mój słoik z masłem orzechowym. Spod pokrywki małego kosza na śmieci wystają czyste plastikowe opakowania. Dobrze wiem, skąd się wzięły: z automatu ze słodyczami stojącego w pralni.

Podchodzę do stołu, podczas gdy zwrócona do mnie plecami dziewczynka skrupulatnie smaruje precel masłem orzechowym. Plastikowy zacisk zniknął, podobnie zresztą jak kajdanki. Moja mała towarzyszka

zmieniała swoje brudne, zakrwawione ubrania i teraz ma na sobie wielką różową koszulkę z napisem „Route 66” i dżinsy, które musiała kilka razy podwinąć wokół kostek. Patrzę na jej nowe ciuchy i przypominam sobie, że w pralni stoi zapomniane pudło na niepotrzebne ubrania wypełnione głównie dziecięcymi rzeczami.

Pomijając łóżko, z którego przed chwilą się zwlokłem, pokój jest idealnie wysprzątny. Dziewczynka wyniosła śmieci, a nawet lekko uchyliła okno, żeby wpuścić do środka odrobinę świeżego, chłodnego powietrza. Rzucam się do okien i zaciągam zasłony. Pokój pogrąża się w ciemności, ale nie obchodzi mnie to. Dzięki temu jest mi łatwiej.

– Zgłupiałaś? – wrzeszczę. – Myślisz, że to na mnie podziała?! Że jeśli będziesz dla mnie miła, to odwzajemnię ci się tym samym?! Naprawdę jesteś aż taką idiotką?! Naprawdę myślisz, że chcę ci pomóc?!

Dziewczynka kuli się odrobinę, ale nie odwraca wzroku. Widząc, że nawet nie drgnie, nie wytrzymuję. Wiem, że jest odmieńcem, wiem, że w ogóle nie powinienem z nią rozmawiać ani dać po sobie poznać, że zauważyłem, co zrobiła. Nie powinienem dopuścić, by doprowadziła mnie do takiego stanu. Nagle jednak wszystko we mnie wybucha i strach zupełnie miesza mi myśli.

Nawet jeśli się mylę i ona nie gra w żadną grę, to jest oczywiste, iż uważa, że nie potrafię o siebie zadbać, nie

mówiąc już o niej. Zrobiła to wszystko, bo chce mnie upokorzyć. Wyśmiewa się ze mnie. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że nie uciekła, kiedy miała szansę? Najwyraźniej nie umiem nawet zatrzasnąć kajdanek! Nie potrafię jej upilnować, czy chociażby pozostać na tyle przytomnym, by się zorientować, że wychodzi z pokoju, do jasnej cholery!

Na jakiej podstawie uwierzyłem, że mi się uda? Dziewczynka nic nie mówi, ale wystarczy na nią spojrzeć, by odczytać przebiegające jej przez głowę myśli. „Koleś jest do bani. Jest głupi jak but i nadaje się tylko do szorowania przyczep kempingowych”. Ta sama śpiewka, którą słyszę od wszystkich.

Ale to nieprawda. Nie jestem głupi. Nie jestem, przysięgam.

Stać mnie na więcej. Wiem o tym. Te dzieciaki dobrze wiedzą, jak namieszać człowiekowi w głowie i sprawić, by w siebie zwątpił. Ale ja jej nie pozwolę. Koniec z tym. Zegar wskazuje dopiero ósmą rano. Posterunek będzie otwarty. Odstawię ją i będę miał kłopot z głowy. Zrzucę przygniatający mi pierś dziesięcotonowy ciężar.

– To nie Kansas, Dorotko – dogryzam jej. – Tu ludzie nie są mili. Nie są twoimi przyjaciółmi. Ja nie jestem twoim przyjacielem.

Nie zwraca na mnie uwagi. Siedzi na krześle przy stole, machając nogami, i pochłania śniadanie. W

odpowiedzi rzuca mi jedynie spojrzenie, które zaczynam już rozpoznawać – jedna brew uniesiona, wydęte usta i błysk w oku, mówiący „daj spokój, stary”.

Nie tknąwszy jedzenia, chwytam ją za rękę i podnoszę z krzesła, ignorując jej skrzywioną minę. Na wszelki wypadek krępuję jej nadgarstki dwoma plastikowymi zaciskami, nie reagując, kiedy wydaje z siebie odgłos zaskoczenia i bólu. Wychodzimy. W tej chwili. Udowodnię jej, że ze mną nie ma żartów. Będzie żałować, że nie uciekła, kiedy miała okazję.

Pomyliła się co do mnie.

Postanawiam pojechać prosto do Prescott, nie cofając się do Camp Verde po paliwo. Wprawdzie tylko tam mają godny zaufania towar, ale odkąd zaczęto wydobywać ropę na Alasce, przy autostradzie pojawiły się nowe stacje benzynowe. Nie chodzi o to, że się martwię, że łowcy, których wczoraj ograbiłem, wciąż czekają na mnie przy drodze – po prostu chcę już mieć to wszystko z głowy i zacząć na serio polować na odmieńców. Postanawiam, że podejść do tego jak do próbnego biegu przed prawdziwym wyścigiem. Jak do ćwiczenia.

Ryzyko się opłaca. Znajduję stację paliw. Płacę dwieście dolarów, za które mogę zatankować zaledwie pół baku. *Dotankuję w drodze powrotnej*, mówię sobie i macham do pracownika stacji. Wracam do furgonetki, obserwując uważnie autostradę i zielony las okalający budynek. Słyszałem historie o napadach rabunkowych,

których celem była benzyna, i denerwuję się za każdym razem, kiedy jestem zmuszony się zatrzymać.

Otwieram drzwi od strony pasażera, ustawiając się tak, by zasłonić skuloną na podłodze dziewczynkę. Nie daję jej szans na sprzeciw. Nie pozwalam się ruszyć. Polegałem na jej fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, zostawiając ją w samochodzie i licząc, że nie będzie przy nim majstrować ani nie ucieknie, ale to już więcej się nie powtórzy.

Podręcznik zaleca używanie gumowych rękawic, żeby zniwelować umiejętności Żółtych – bez fizycznego kontaktu z urządzeniem nie są w stanie go kontrolować. Najlepsze, co udało mi się znaleźć na stacji, to rękawiczki, jakich moja mama używała do zmywania naczyń – kiedy jeszcze to robiła. Wiem, że nie są dostatecznie grube, ale postanawiam włożyć dziewczynce dwie pary. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Rozcinam nożem plastikowe zaciski i mała pochyła się do przodu, pocierając nadgarstki z wątłym uśmiechem wdzięczności. Jak na kogoś, kto nic nie mówi, ma niezwykle wyrazistą twarz. Widzę więc, jak się wzdryga, kiedy wyciągam rękawiczki z tylnej kieszeni i usiłuję jej je nałożyć. To pierwszy raz, kiedy mi się sprzeciwia. Naprawdę ze mną walczy – wierzga i kopie, aż całe ręce pokrywają mi siniaki. W końcu zachowuje się jak prawdziwe dziecko, które ma dość, co jeszcze bardziej zbija mnie z tropu. Nie staram się nawet

naciągnąć jej rękawiczek na każdy palec. Stwierdzam, że nie jest to konieczne i że plastikowy zacisk wokół nadgarstków powinien utrzymać je na miejscu.

Dziewczynka nie przestaje się szamotać, wykręcając ramiona, a jej ciemne oczy płoną poczuciem zdrady. Widzę, że w jej głowie zaczyna się rodzić plan, i duszę go, zanim się zakorzeni.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć, uciekać albo ściągać na siebie uwagę, pożałujesz. Mam paralizator i skoro tak bardzo lubisz elektryczność, z wielką przyjemnością cię z nim zapoznam.

Po tych słowach zatrząskuję jej drzwi przed nosem. Obchodzę samochód, ale z każdym krokiem czuję się odrobinę niższy. W końcu dochodzę do dystrybutora i zaczynam tankować. Myślę: *Może to właśnie miał na myśli Hutch, kiedy mówił, że ci, którzy to lubią, muszą być prawdziwymi potworami. Żeby stać się łowcą, musisz być okrutny. Musisz umieć pokazać odmieńcom, gdzie ich miejsce, w przeciwnym razie wejdą ci na głowę.*

Ciągle próbuję sobie wmawiać, że wszyscy znaleźliśmy się w tej sytuacji z winy dzieci. Gdyby tylko nie zrobiły się nienormalne, gdyby tyle z nich nie umarło, wszystko byłoby po staremu. Mama pracowałaby sobie w ogrodzie, a tata ciągle by żył, harując jak wół w restauracji, by spełniać zachcianki swoich klientów. Zastanawiam się, jaką osobą byłbym w

takim świecie.

Podręcznik podaje, że wszystkie centra rekrutacji SSP oraz ich posterunki mają obowiązek przyjąć od łowcy zbiega Psi i wypłacić mu nagrodę. W Prescott znajduje się tylko centrum rekrutacyjne i biura administracji. Główna baza mieści się w Phoenix, gdzie mieszka większość populacji stanu.

Może się czepiam, ale uważam, że umieszczenie siedziby SSP w dawnej szkole podstawowej to podłość.

Nikt nie wchodzi do budynku ani z niego nie wychodzi, chociaż parking jest wypełniony samochodami wszelkiej maści – od starych gratów takich jak mój po wojskowe samochody terenowe i furgonetki. Przypinam kajdanki do plastikowego zacisku na nadgarstkach dziewczynki i do metalowego drążka pod siedzeniem pasażera. Dziewczynka nie błaga o litość, nie żali się ani nie płacze – nie żebym się tego po niej spodziewał. Nie wygląda jednak, jakby pogodziła się ze swoim losem, co – biorąc pod uwagę jej poranne czary-mary, których nie powstydziliby się sam Houdini – sprawia, że zamykając drzwi, trochę się denerwuję.

Postanawiam najpierw dopełnić formalności i dopiero później wprowadzić ją do środka. Nie chcę się śpieszyć. Wydaje mi się to rozsądne. Najpierw muszą zarejestrować mnie w sieci i wyposażyć w niezbędne urządzenia.

Hutch twierdził, że czasem SSP próbują człowieka wyrolować w nadziei, że w końcu się podda i porzuci nadzieję na sprawiedliwe traktowanie. Opowiadał, że funkcjonariusze piętrzą trudności, by uprzykrzyć łowcom życie. To dlatego zrezygnował po swojej pierwszej zdobyczy. Między innymi.

Dziesięć tysięcy dolarów, przypominam sobie. Przyszłość. Albo przynajmniej nowy początek.

Szkoła Podstawowa imienia Lincolna jest dostojnym ceglanym budynkiem. Powiedziałbym nawet, że szykownym w porównaniu z wieloma nowszymi budowlami z drugiej połowy dwudziestego wieku. W drzwiach spotykam w pełni umundurowanego żołnierza SSP z karabinem na ramieniu. Widziałem mundurowych na zdjęciach i w telewizji, ale strażnik z krwi i kości wzbudza we mnie o wiele większy strach.

Ten, kto dobrał dla Sił Specjalnych Psi czerwono-czarną kolorystykę typową dla Dartha Vadera, dobrze wiedział, co robi.

– Czego tu szukasz?

Na pewno nie kłopotów.

– Przyszedłem w sprawie... – Urywam w pół zdania.

Szkolny hol został przekształcony w coś na kształt posterunku policji. Wokoło ustawiono stoły, za którymi siedzą żołnierze. W miejscu przeznaczonym na poczekalnię snują się mężczyźni i kobiety w myśliwskich czapkach i kurtkach moro, czekając na

swoją kolej.

Nie widzę dzieci, ale może wprowadza się je tylnym wejściem.

– Ile razy mamy wam powtarzać, żebyście sprawdzali takie rzeczy za pomocą aplikacji?! – krzyczy jakiś mężczyzna z drugiego końca holu.

Siedzący obok niego petent wstaje i wali pięściami w stół tak mocno, że żołnierz zaczyna niespokojnie się wiercić.

– Szukaliśmy numeru rejestracyjnego w systemie! Nie jest zarejestrowany! Przynajmniej na razie!

O ściany holu odbijają się dwa słowa wypowiedane przez wzburzonych łowców: „skradzione” i „zdobycz”. Zanim mężczyźni się obracają i kierują ku wyjściu, zdaję sobie sprawę, że stoję o jakieś trzydzieści metrów od brodaczy.

Jasna cholera.

Wycofuję się, mamrocząc coś do strażnika, po czym pędem rzucam się na parking.

*Twoje zachowanie zupełnie nie wzbudza podejrzeń!
Tak trzymać, Gabe!*

Cholera, cholera, jasna cholera. Nawet jeśli zaczekałbym, aż brodacze wyjdą, pracownicy posterunku rozpoznają numery rejestracyjne na moim podaniu. Nie wspominając o tym, że pewnie kamery nagrały mój mały popis przy drzwiach.

Phoenix. Spróbuję w Phoenix. Zmienię ciuchy, włożę

kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, ukradnę tablice z któregoś z porzuconych przy autostradzie samochodów. To tylko niespełna dwie godziny drogi. Jeśli braknie mi benzyny... To coś wymyślę.

Czuję się lepiej, mając plan. Pewnie od tego powinienem był zacząć, ale nie szkodzi. Dostałem nauczkę.

Wskakuję na siedzenie kierowcy. Dziewczynka wciąż siedzi na podłodze. Na kolanach ma rozprostowaną kartkę z zeszytu, którą na mój widok natychmiast wpycha do kieszeni dżinsów. Dzięki temu, że stanąłem nad nią, zdążyłem jednak przeczytać przynajmniej połowę tekstu: „Kochamy cię. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, szukaj...”.

Szukaj kogo?

– Cóż, Dorotko – mówię do niej, uruchamiając silnik. Usiłuję wymyślić jakąś wymówkę, która zatai żalowaną prawdę. – Na tym posterunku nie przyjmują odmieńców. Wygląda na to, że masz dwie dodatkowe godziny wolności.

Wiem, że mnie przejrzała, a do tego wygląda na... zniesmaczoną, łagodnie mówiąc. Wycofuję auto, a ona wdrapuje się na siedzenie obok i wrzuca kajdanki do znajdującego się między nami stojaka na kubek.

Dobra. Dość tego. Co jest grane?

Dziewczynka wzdycha, ale lituje się nade mną i pokazuje mi sztuczkę. Bierze kajdanki w jedną rękę,

podczas gdy drugą wyjmuję z kieszeni pogiętą wsuwkę do włosów. Raz po raz odrywam wzrok od drogi i przyglądam się, jak gmera zagiętą końcówką drucika w maleńkiej dziurce w kajdankach, której wcześniej nie zauważyłem. Metalowa obręcz odskakuje.

– Młoda, masz najgorszy instynkt samozachowawczy, jaki w życiu widziałem – mówię jej, bo od tej chwili wiem, żeby nie zakuwać jej w kajdanki. Zostanę przy zaciskach.

Dziewczynka próbuje mnie nauczyć, jak powinienem wykonywać swoją robotę... Choć jestem pod wrażeniem jej umiejętności, to niemal całym sobą pragnę położyć się na drodze i zaczekać, aż coś mnie przejedzie. Poranny wybuch gniewu wysłał ze mnie siły do tego stopnia, że czuję się wyłącznie upokorzony i zmęczony tym wszystkim.

– Nie uratowałem cię – przypominam jej, ale ona jedynie wyciąga do przodu skrępowane zaciskiem i ubrane w rękawiczki ręce i włącza radio. Słucham tylko hip-hopu albo ciszy, więc ona naturalnie nastawia na stację, na której nadają folkrocka, po czym wygodnie się rozsiada. – O nie! – oznajmiam i wyłączam radio.

Dziewczynka jednak znowu je uruchamia, pogłaśniając akurat w chwili, gdy piosenka zmienia się w coś, co przypomina utwory Led Zeppelin. Kiedy dotykam pokrętła, rzuca mi spojrzenie, które prawdopodobnie powinno mnie przyprawić o

samozapłon.

– Dobrze już, dobrze, wyluzuj! – Potraktuję to jak jej ostatni posiłek przed egzekucją. To wszystko, na co mogę jej pozwolić. Tylko tyle.

Po przejechaniu pięćdziesięciu kilometrów tuż przez Black Canyon City strzela nam tylna prawa opona. Kto ją naprawia?

Zgadnijcie.

Zgadnijcie.

Nie jestem idiotą. Naprawdę. Widziałem, jak tata zakłada zapasową oponę, ale nigdy wcześniej nie robiłem tego samodzielnie. Jestem tak spanikowany, że ledwie udaje mi się zjechać na pas awaryjny. Tymczasem Dorotka wyskakuje z samochodu i rusza w stronę bagażnika w poszukiwaniu zapasówki. Jestem pewien, że Hutch był zbyt skąpy, by ją tam zostawić. Spojrzenie, którym obrzuca mnie dziewczynka, kiedy stoję obok niej, można podsumować słowami: „to jakiś żart, prawda?”.

Ruch na autostradzie jest tak znikomy, że bez obaw możemy iść niezauważeni wzdłuż porzuconych obok drogi samochodów.

Boże. Czy tak właśnie wygląda życie odmieńców – dzieci?

Bezustannie oglądają się za siebie i podskakują za każdym razem, kiedy usłyszą odgłos silnika, bo jedno

nieostrożne spojrzenie może oznaczać ich koniec? Ja muszę uważać tylko na innych łowców nagród, a ona na wszystkich – od łowców po staruszki z dostępem do telefonu.

Zatrzymujemy się obok jakiejś terenówki i dziewczynka kuca, przyglądając się jednej z opon auta. Ściąga brwi i marszczy czoło, jakby usiłowała oszacować, czy koło wraku ma takie same wymiary jak moje.

Wyciąga do mnie rękę, a ja zdezorientowany wlepiam w nie wzrok. Kiwa głową, delikatnie potrząsając dłońmi, i w końcu dociera do mnie, czego chce.

– Nie uciekniesz?

Przewraca oczami.

– Dobra, tylko nic nie kombinuj.

Przecinam zacisk, spodziewając się, że sama zdejmie sobie rękawiczki. Zamiast tego jednak dziewczynka ostrożnie je poprawia, nakładając na każdy palec. Wygląda to komicznie, bo są tak duże, że sięgają jej za łokcie – jak rękawiczki superbohaterów.

Przyklękam obok niej. Za pomocą kilku narzędzi i lewarka dziewczynka ściąga kołpak i odkręca śruby mocujące koło. Działa sprawnie i metodycznie, ale na tyle wolno, że dokładnie śledzę cały proces.

– Kto cię tego nauczył? – Nie mam pojęcia, czemu zagajam rozmowę. Może dlatego, że mamy taki ładny

dzień. Jest ciepło, ale nie upalnie, przyjemna chłodna bryza gładzi zbocza pobliskich gór i smaga dolinę. Już chwilę temu zostawiliśmy za sobą las i znajdujemy się teraz na najprawdziwszej pustyni, ale powietrze wciąż ma tu słodki, kwiatowy zapach. To właśnie taki krajobraz przychodzi człowiekowi do głowy, kiedy wyobraża sobie Arizonę. Część stanu, w której dorastałem, jest zupełnie inna i równie dobrze mogłaby leżeć w Kolorado. – Tata? – pytam. Dziewczynka kręci przecząco głową. – Brat? Tak? Twój brat?

Dorotka odrywa się od zajęcia i wznosi dwa palce. Ku własnemu zaskoczeniu dokładnie wiem, co próbuje powiedzieć.

– Dwóch braci? Gdzie, u licha, się podziewają?

Nie powinienem zadawać tego pytania. Przez twarz przebiega jej cień i w odpowiedzi odwraca się do mnie plecami.

– Czy ta druga Azjatka to twoja siostra? Ta, która uciekła? – Nie daję za wygraną. – Nie? Poważnie? Ale masz siostrę?

Dobra, dwóch braci i siostra. Ciekawe. Jeśli nie ma ich przy niej, to albo są starsi i nie dopadł ich wirus Psi, albo trafili do obozów, albo nie żyją. Wnosząc po tym, jak jej twarz jaśnieje, kiedy o nich „mówi”, nie sądzę, by to ostatnie było prawdą.

Ale w takim razie gdzie są, do cholery? Gdybym miał młodszą siostrę, opiekowałbym się nią. Zdarłbym

sobie ręce do kości, usiłując ją chronić, i nie pozwoliłbym się jej zadawać z bandą jakichś dzieciaków. Ciekawe, dokąd jechali. Włączyli się po kraju z jednego miejsca w drugie?

Przypominam sobie, jak płakała w łazience, myśląc, że jej nie słyszę. Nie podoba mi się, że na samą myśl o tym serce zamiera mi z żalu. Bez względu na to, jak bardzo jestem ciekawy, nie powinienem jej wypytywać. Człowiek, mając do czynienia z odmieńcem, przestaje myśleć o niebezpieczeństwie i zamiast tego skupia się na rodzinie takiego osobnika, miejscu jego pochodzenia, grach, w które lubił się bawić z przyjaciółmi... I nagle czuje się zbity z tropu. Pozwala, by te szczegóły w niego wsiąkły, i niespodziewanie odmieniec zamienia się dla niego w dziecko z kościstymi odrapanymi kolanami, ubraniami brudnymi od trawy i rękami zajętymi ciągłymi psotami. Staje się po prostu... małym dzieckiem.

Z losem gorszym od mojego.

Dorotka sprowadza mnie z powrotem na ziemię, pokazując, że powinienem zabrać tablice rejestracyjne samochodu i wkręcić je na miejsce swoich. Nie mam pojęcia, skąd wie, że trzeba to zrobić. Pewnie z doświadczenia. Może dzięki temu dzieci takie jak ona są tak trudne do wytropienia: kiedy wyczuwają niebezpieczeństwo, zmieniają samochody, a jeśli to niemożliwe, podmieniają rejestrację.

Sprytnie. Ciekawe, ile takich sztuczek zna.

Opona jest idealna i dziewczynka proponuje, by wymienić pozostałe trzy. Czemu nie, moje wyglądają na zużyte i sflaczałe. Wątpię, by Hutch kiedykolwiek wyważył koła. A już na pewno nie miał pieniędzy, by jak szanujący się właściciel auta co kilka lat wymieniać opony. Kiedy życie rzuca ci tylko ogryzione kości, pewne rzeczy przestają być potrzebą i zamieniają się w luksus.

Po wszystkim ruszamy w drogę i zatrzymujemy się parę przecznic od restauracji. Kupuję kanapki, które jemy przy spuszczonej szybce i ryczących z głośników dźwiękach Rolling Stonesów. Dopiero teraz przypominam sobie, że nie założyłem dziewczynce nowego zacisku wokół nadgarstków, i zauważam, że zdjęła rękawiczki.

Dociera to do mnie, ale nie bardzo mnie obchodzi.

– Jak masz na imię, Dorotko? Chodzi mi o twoje prawdziwe imię.

Dziewczynka zanurza palec w ketchupie, którym umazany jest papier po jej kanapce, i równymi, delikatnymi pociągnięciami pisze: „ZU”.

– Zu? – wymawiam na próbę. – Co to, do cholery, za imię?

W odpowiedzi wali mnie w ramię. Mocno! Krzywię się tylko odrobinę, ale tak naprawdę prowadzę ze sobą ciężką wewnętrzną walkę, żeby nie potrzebować pulsującego z

bólu mięśnia. Ona natomiast patrzy na mnie i macha ręką, żebym w zamian podał jej swoje imię.

Kurczę, nie wiem. Nie wiem, czy to ma sens. Co ja wyprawiam? Sytuacja znowu wydaje mi się strasznie zawikłana. Dobrze było na całe dziesięć minut zapomnieć, dlaczego tu razem siedzimy. Pojawiające mi się w głowie myśli wydają się niebezpieczne. Myślę sobie: *Te dzieci nie mogą być aż takie złe*, albo: *Skoro nie jest człowiekiem, to czemu lubi kanapki i Micka Jaggera i skąd wie, jak zmienić oponę?* Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem umiejętności, których tak się boimy, nie służą odmieńcom jedynie do obrony przed wielką falą nienawiści i strachu, jaką ich zalewamy.

– Wybacz – mówię, bo wiem, że ją to zezłości. – Dla mnie dalej będziesz Dorotką.

Czuję się, jakby poderwano mnie w górę i upuszczono na głowę w świecie, który wygląda jak mój, ale jest trochę inny. Jaśniejszy, żywszy albo przynajmniej pozbawiony części kurzu i brudu, które narosły przez lata zaniedbań. Nie mam pojęcia, w którym kierunku iść, wiem tylko, że chcę tu zostać.

Naszym kolejnym przystankiem jest mała osamotniona stacja paliw w Deer Valley leżącym na południe od Anthem i Cave Creek. Wątpię, że Zu zna Arizonę na tyle, by wiedzieć, jak blisko mamy do Scottsdale i że stamtąd do Phoenix jest już naprawdę rzut beretem. Dziewczynka robi tylko gwałtowny wdech, bez żadnego ostrzeżenia chwyta kierownicę i skręca ją w kierunku zjazdu z autostrady, omal nie powodując wypadku.

– Boże! Odbiło ci?!

Zu jedną ręką wskazuje na kontrolkę paliwa, a drugą na leżącą zaraz przy zjeździe stację.

– Ciekawe, czym zapłacę. Starczy mi ledwie na cztery litry, a jeszcze nawet cię nie odstawiłem.

Zaufaj mi. Mrużę oczy, ale ona patrzy mi prosto w twarz. *Zaufaj mi.*

Jak można się było spodziewać, jesteśmy tu jedynymi klientami. Objeżdżam stację i staję przy dystrybutorze położonym najdalej od niewielkiego sklepiku, z którego okienka przygląda się nam pracownik. Bak znajduje się po stronie kierowcy, więc Zu może wysiąść z auta i schować się za furgonetką.

– Jaki masz plan? – pytam.

Ruchem dłoni pokazuje, żebym włożył do otworu w

dystrybutorze kartę kredytową. Nie powiedziałem jej wcześniej, że pompy nie przyjmują już kart i że teraz płaci się tylko gotówką.

Nie wygląda na zbitą z tropu. Zamiast tego wskazuje na sklep i mężczyznę w okienku, po czym zaczyna kłapać dłońmi, imitując rozmowę.

Odwróć jego uwagę!

Potrząsam głową i wsuwam ręce do tylnych kieszeni spodni, ale robię, co każe. Bo *tego* akurat nie będę w stanie spartaczyć.

Temperatura jest tu o jakieś dziesięć stopni wyższa niż na północy Arizony. Przyjeżdżam w te strony tak rzadko, że czterdziestostopniowy upał uderza mnie, jakbym otworzył piekarnik i się ku niemu pochylił. Za pracownikiem stacji widzę zamontowane wiatraki – właściciel najwidoczniej poskąpił na prawdziwą klimatyzację.

Kiedy wchodzę, rozlega się dzwonięcie zawieszzonego nad drzwiami dzwonka. Zerkam przez ramię i zaskoczony patrzę, jak licznik dystrybutora, który jeszcze przed chwilą był czarny, nagle zaczyna wyświetlać numery. Nie wiem, co pracownik widzi na swoim ekranie ani co wyprawia moja towarzyszka, ale wpadam na pewien plan. Jest równie głupi co prosty.

Udaję, że gwałtownie się potykam, i z impetem łąduję prosto na regale ze słodyczami. Rozkładam ręce, zrzucając rzeczy z półek i robiąc przy tym

niewiarygodny bałagan. Mężczyzna zapewne podejrzewa, że mam jakiś atak, bo w jednej chwili doskakuje w miejsce, gdzie leżę na podłodze, i zaczyna mierzyć mi puls, wsuwając mi między zęby batonik, jakby się bał, że odgryzę sobie język.

– Proszę pana, proszę pana, proszę pana! – Stara się mnie ocucić.

Nie pamiętam, by ktoś kiedykolwiek zwracał się do mnie per „pan”, a już na pewno nie trzy razy w ciągu kilku sekund.

– Wszystko w porządku? Słyszysz mnie pan?

Odstawiając wielkie przedstawienie, jęczę, chwytam się za głowę i przewracam na bok. Ponad biodrem mężczyzny dostrzegam, jak w oddali Zu trzyma pompę i jak numery na dystrybutorze przeskakują na coraz wyższe. Wygląda na to, że dziewczynka tankuje, nie płacąc za benzynę ani centa.

– Wezwę karetkę...

Biedny staruszek jest tak poczciwy, że robi mi się trochę głupio za cały ten bałagan, ale tylko do chwili, kiedy ma czelność powiedzieć:

– Wszystko będzie dobrze. Już dobrze, chłopcze.

– To tylko... To przez upał – mówię, chwytając go za ramię, bo zaczyna się odsuwać. – Nic mi nie będzie. Czy ma pan... Czy mogę prosić butelkę wody?

Błagam, żeby starczyło mi na butelkę wody.

– Nie, nie, nie – mówi staruszek, odgarniając z czoła

przerzedzone siwe włosy. – Zaczekaj tu. Przyniosę ci szklankę wody z lodówki na zapleczu.

Żeby zatankować do pełna trzeba więcej niż pięć minut, ale to, co zdołała wlać do baku Zu, musi nam wystarczyć. Czekam, aż staruszek chwiejnie podniesie się na nogi, przygładzi uniform i zniknie na tyłach sklepu, po czym zrywam się i ruszam pędem w kierunku furgonetki.

W samą porę. Na mój widok Zu odkłada pompę na miejsce. Pomagam jej wskoczyć do kabiny, rzucając spojrzenie na wyświetlacz. Jakimś cudem zdołała ukraść benzynę o wartości trzystu dolarów.

Odjeżdżamy z piskiem opon. Strzelam oczami na boki w poszukiwaniu wjazdu na autostradę, śmiejąc się jak szalony. Nie mogę przestać, bo tylko tak pozbywam się nadmiaru adrenaliny. Zu się pochyła i zapina mój, a następnie swój pas bezpieczeństwa. Jej okrągła buzia jest rumiana, ale mam wrażenie, że wygląda na zadowoloną z siebie. Nie dziwię się.

– To brat nauczył cię tak majstrować przy pompach?
– pytam, kiedy w końcu udaje mi się wyrównać oddech.

Potrząsa przecząco głową. Nie... To nowa sztuczka. Wyobrażam sobie tysiące błędów, które mogliśmy popełnić. Jeśli w sklepie były kamery, to istnieje spore ryzyko, że zarejestrowały moją twarz i samochód. Nie wiem, co się stanie, kiedy staruszek dowlecze się do lady i zobaczy, że ktoś zatankował i nie zapłacił. Kto

wymierzy mi sprawiedliwość? Czy policja z Phoenix naprawdę znajdzie czas, żeby zająć się tą sprawą, mając na głowie taką masę problemów?

Kogo to obchodzi?! Proszę bardzo, niech nas ścigają! Niech tylko spróbują!

Nie myślę racjonalnie, wiem to, bo kolejne słowa, jakie wychodzą z moich ust, są tak nedorzeczne, że z trudem poznaję własny głos:

– Jeśli mi pomożesz znaleźć inne dzieci, nie będę cię musiał zgłaszać.

Czy to naprawdę zupełnie bez sensu? Moja pasażerka dowiodła, że jest o niebo zaradniejsza ode mnie. Może mi się przydać do wielu rzeczy, a w dodatku zapewni mi nieograniczony dostęp do benzyny, kiedy tylko będę jej potrzebował, i to niezależnie od miejsca. A kto wie, może odmieńcy mają ze sobą jakieś telepatyczne połączenie? Potrafią uruchamiać samochody i wzniecać pożary, a nawet przenieść człowieka na odległość boiska. To wszystko nie może już być bardziej nierealne! To nie musi być ona.

Uśmiech powoli schodzi jej z twarzy i rozczarowanie pojawiające się w jej oczach daje mi odpowiedź, zanim dziewczynka potrząsa głową.

To bez sensu. Oferuję jej wolność. Ratuję jej życie, a ona nawet nie udaje, że jest wdzięczna. Może wcześniej miałem rację, może rzeczywiście chce zostać

zatrzymana. Zmęczyło ją ciągle uciekanie i życie w strachu i pragnie jedynie wpaść w ręce pierwszego napotkanego żołnierza w czarnym mundurze i skończyć z tym. To przynajmniej wyjaśniałoby, dlaczego nie uciekła, choć miała ku temu tyle okazji. Przecież nie została ze mną dlatego, że lubi moje towarzystwo.

Nie jestem honorowy. Nie jestem też wybrańcem losu. Po prostu sobie radzę, i to od kiedy pamiętam. Studia interesują mnie nie dlatego, że chcę się rozwinąć i zostać lekarzem albo prawnikiem czy jednym z tych dupków, którzy przesiadują na giełdach, podpierając głowy. Na skali zwycięzców i przegranych jestem gdzieś pośrodku.

Próbuję jedynie dobrać do miejsca, gdzie przynajmniej będę miał wybór. Nie rozumiem, dlaczego mała Zu nie czuje takiej potrzeby, czemu tak po prostu odrzuca wolność. Nie wiem nic o obozach, ale skoro nikt nie śmie o nich mówić nawet ściszym głosem, nie mogą być dobre. Jeśli nie dostrzega, że jest zbyt ufna, niczym się nie różni od staruszka na stacji benzynowej, który proponował mi wodę, podczas gdy my go okradaliśmy. Tacy ludzie nie rozumieją, że świat jest okrutny.

Przyznaję, *trochę* mnie zabolęło, że zamiast zostać ze mną, woli trafić do niewoli. Być może po prostu nie rozumie, co odrzuca. Może powinienem jej to wyjaśnić.

Siedzimy na parkingu przed posterunkiem SSP już

prawie od dziesięciu minut. W przeciwieństwie do Prescott panuje tu ciągły ruch. Wśród ludzi widzę grupki żołnierzy SSP i Gwardii Narodowej sprowadzonych tu do pomocy przy tłumieniu zamieszek, do których doszło, kiedy ostatnio próbowano rozdać racje żywnościowe wśród rosnącej populacji bezdomnych. Prawda jest taka, że kiedy średnia temperatura latem przekracza czterdzieści stopni, ludzie zrobią wszystko, żeby zdobyć butelkę wody, łącznie z próbą zasztytowania konkurencji.

Budynek wygląda pospolicie i stoi w cieniu pustych wieżowców, do których należy gładka niebieska wieża byłej siedziby banku narodowego. Boisko do gry w baseball ochrzczone nazwą tegoż banku zostało zamknięte jeszcze przed tym, nim uprawianie wszystkich zawodowych sportów zredukowano najpierw do kilku gier w sezonie, by w końcu całkiem z nich zrezygnować. Słyszałem plotki, że horda bezdomnych zagarnęła boisko i że gangi nieustannie toczą tu wojny, by zwiększyć swoje terytoria. Przynajmniej tak gadają ludzie. Oczywiście żaden z zasiadających w rządzie klaunów nie raczył nas poinformować, co naprawdę się dzieje. Zostaliśmy jedynie poinstruowani, by „jeśli to tylko możliwe, unikać centrum Phoenix”.

Trzy beżowe piętra z rzędami maleńkich okien – budynek wygląda zupełnie niewinnie. Z daleka w ogóle nie widać, że to baza wojskowa. Wiem, że zapewne nie

takie miało być jego pierwotne przeznaczenie, co utwierdza mnie w przekonaniu, że powinienem tam wejść i po prostu dobić targu.

– Dziesięć tysięcy dolarów – zwracam się do dziewczynki. – Ci ludzie myślą, że tylko tyle jesteś warta.

Nie reaguje. Wiszące nisko na niebie popołudniowe słońce nadaje jej skórze ciepły odcień. Opatrunki, które jej wczoraj założyłem, zaczynają odłazić, więc co pewien czas musi przyglądać ich brzegi. Widzę, że intensywnie się nad czymś zastanawia. Krtań jej podskakuje, jakby połykała kolejne słowa.

– Sama jesteś sobie winna – mówię, a głos robi mi się zachrypnięty. *Boże*, wbijam wzrok z powrotem w spękany asfalt i czuję, jak skręca mi się żołądek. Na miejscu po prawej parkuje biała furgonetka z przyciemnianymi szybami z rodzaju tych, jakich zawsze używają seryjni mordercy.

Wysiada z niej kobieta w wybielanych džinsach i z tlenionymi włosami – są tak spalone przez chemikalia, że płaczą się w ohydne kołtuny. Dostrzega siedzącą na miejscu pasażera Zu i obrzuca ją pożądanym spojrzeniem. Zauważa mnie i uśmiech nieco schodzi jej z twarzy, ale opanowuje się i schyla do poziomu wzroku dziewczynki. Macha do niej protekcjonalnie, a ja czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła.

Nagle Zu z całej siły gwałtownie otwiera drzwi,

waląc kobietę prosto w zadowoloną gębę.

– Jasna cholera!

Blondynka bezwładnie osuwa się na ziemię. Tymczasem Zu nie marnuje ani chwili. Otwiera drzwi na oścież i przekracza kobietę, żeby się dostać do jej samochodu. Dopiero kiedy zaczyna odsuwać drzwi furgonetki, przytomnieję i gramolę się za nią.

Blondynka straciła przytomność – z własnej woli nie wytrzymałaby tak długo na rozpalonym asfalcie. Rozglądam się wokoło przerażony, że ktoś mógł to zobaczyć. Zu tymczasem wpatruje się w skrzepowaną skórzanymi paskami i łańcuchami drobną postać zwiniętą w kłębek z tyłu auta. Macha na mnie niecierpliwie, jak zirytowana nauczycielka, więc przeskakuję do furgonetki, schylając się tylko po to, by wyciągnąć kluczyki z dłoni nieprzytomnej kobiety.

Chłopiec – dwunasto-, najwyżej trzynastołatek – przestaje się szamotać, kiedy tylko Zu ściąga zasłaniającą mu oczy opaskę. Nie do końca wierzę w to, co widzę. Wnętrze auta strasznie śmierdzi – po widniejącej na spodniach chłopca plamie widać wyraźnie, że zmoczył się jak małe dziecko. Cały się trzęsie, próbując wykrzyczeć coś przez knebel. Oddaję Zu kluczyki i pozwalam jej otworzyć kajdanki krepujące mu ręce i stopy.

Kątem oka dostrzegam leżący na przednim siedzeniu, zaraz obok małego pistoletu, czarny błyszczący tablet z

tych, które przysługują wyłącznie zarejestrowanym łowcom.

– O Boże! – wykrzykuje chłopiec, kiedy Zu rozwiązuje mu knebel. Klatka piersiowa unosi mu się gwałtownie z każdym oddechem. Płacze tak jak ja, kiedy byłem mały i przynosiłem do domu zły stopień albo po przegranym meczu w nogę. Mama karciała mnie wtedy, że niepotrzebnie się rozczulam nad głupotami. Szłocha jak ja w tę noc, kiedy znalazłem ciało taty.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję, dziękuję – łąka, przywierając do mnie.

Mam wrażenie, że nie może poruszać nogami, więc biorę go na ręce i zanoszę do swojej furgonetki. Dobrze wiem, że jego też nie oddam.

Już sam nie wiem, co robię.

Wyjeżdżam na autostradę i nagle po prostu prowadzę, i to tak szybko, jak tylko mogę, bez ściągania na siebie niepotrzebnej uwagi. Za każdym razem, kiedy spoglądam we wsteczne lusterko, spodziewam się zobaczyć jakiś ścigający mnie pojazd wojskowy, pędzący drogą w huku karabinowych wystrzałów. Albo przynajmniej białą furgonetkę z tlenioną blondyną wychylającą się z okna, by wycelować w nas ze swojego błyszczącego pistoletu.

Naoglądałem się zbyt wielu filmów akcji.

Zu spokojnie trzyma chłopca za rękę, a on o dziwo

jej na to pozwala. Podejrzewam, że tym właśnie różnią się dzisiejsze dzieci od tych, z którymi wyrosłem. Nie są próżne – chłopiec nie zachowuje się jak dupek i cham tylko dlatego, że w głębi serca czuje się upokorzony, bo się posikał i rozpląkał przy dziewczynie. Podejrzewam, że ze względu na okoliczności są w stanie być ponad takie rzeczy. To w pewien sposób nawet urocze... Jak miłość między szczeniakami – z dodatkiem paranormalnych mocy i hormonów.

Chłopiec mnie zaskakuje. Teraz, kiedy ochłonał, zdaje się nawet próbować flirtować z Zu. Nie przestaje zadawać jej pytań, chociaż dziewczynka jedynie na zmianę kiwa i potrząsa głową.

– Ona nie mówi – wyjaśniam mu w końcu. – Ale cię rozumie.

– Aha.

Patrzę na niego kątem oka. Jest rudzielcem z mnóstwem piegów na twarzy, noszącym porządne ciuchy, świadczące o tym, że ktoś jeszcze niedawno się o niego troszczył. Wierci się i wtula w podarte skórzane siedzenie.

– Jak masz na imię? – pytam.

– Czy jesteś jak ta kobieta? – rzuca, zamiast odpowiedzieć. – Łowcą nagród?

W tej chwili jestem dokładnym przeciwieństwem tego, czym powinien być łowca nagród. Zu wskazuje na mnie i unosi w górę kciuki, sprawiając, że czuję się,

jakby wybrała mnie na kolejnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Rozumiem – mówi chłopiec. – W porządku. Mam na imię Bryson.

– Miło mi – odpowiadam. – Jestem Gabe, a to Dorotka.

Dziewczynka pochyla się i znowu wali mnie w ramię.

– Au! Niech ci będzie. To Zu.

– Zu? – Bryson powtarza za mną, jakby chciał przetestować nowe słowo. – Fajne imię.

Przyznaję. Nawet fajne. Podejrzewam, że lepsze niż na przykład Pauline.

– Jak cię złapali? – pytam. Po dwóch dniach gadania do siebie, czuję się dziwnie, mogąc prowadzić rozmowę.

Chłopiec wzdycha i opada na siedzenie.

– Byłem naprawdę głupi. Della mnie zabije.

– Della to twoja mama? – Zacząłem mówić do swojej mamy po imieniu, kiedy skończyłem dwadzieścia lat, bo było mi wstyd, że jestem jej dzieckiem.

– Nie, to kobieta, która opiekuje się mną, moim bratem i jeszcze kilkorgiem innych dzieci. Ona i jej mąż są naprawdę mili. Będziemy u nich, aż wszystko wróci do normy.

– Ukrywa was? – pytam. Nieźle. Babka naprawdę musi mieć nerwy ze stali. Wiem coś o tym. Mnie strach aż paraliżuje. – W takim razie masz rację. Najpewniej cię zabije.

Sprawa z kryjówką jest iście fascynująca. Wspomniana przez chłopca Della i jej mąż Jim niedawno wprowadzili się do spokojnej dzielnicy w mieście Glendale, które wciąż utrzymywało się na powierzchni, podczas gdy ulice okolicznych miast pustoszały w wyniku kolejnych eksmisji. Nie mieli własnych dzieci, byli jednak przyjacielscy i na tyle otwarcie mówili o swoim podejściu do Graya, że od razu zdobyli zaufanie nowych sąsiadów. Zaczęło się od tego, że jedno z dzieci z dzielnicy Brysona zniknęło w dzień swoich dziesiątych urodzin. Kilka miesięcy później kolejne dziecko rozpląnęło się w powietrzu. Kiedy w końcu nadeszły urodziny Brysona, jego mama obudziła obu swoich synków w środku nocy i zaprowadziła ich do domu Delli i Jima, mówiąc im tylko, że muszą być grzeczni i pozostać w ukryciu, aż po nich wróci.

– Nie podobało ci się tam? – pytam.

– Nie, to nie tak. Jim i Della są super. Ona jest świetną kucharką, a on zabierał nas do garażu i uczył naprawiać auta. Dobijało mnie tylko to przesiadywanie na strychu. Nie za często wychodzimy na zewnątrz.

– I złapano cię, bo ci to obrzydło?

Kolejne westchnienie.

– Powiedzieli, że przewiozą nas w bezpieczne miejsce w Kalifornii. Mój brat, mazgaj, nie chciał wyjechać bez swojego pluszowego misia, z którym kiedyś zasypiał. Pomyślałem... że przecież nasz dom

jest tak blisko. Doszedłem do wniosku, że jeśli wymknę się w nocy, to uda mi się szybko to załatwić...

Zu współczująco kiwa głową, ale coś w wyrazie jej twarzy mówi mi, że ma ochotę zadać chłopcu pytanie.

– Podejrzewam, że ta kobieta wałęsała się po waszej dzielnicy z nadzieją, że w końcu któryś z zaginionych dzieciaków wróci.

– Pewnie tak.

Nadchodzi chwila, w której powinienem powiedzieć coś, by go pocieszyć. Wiem to, bo Zu patrzy na mnie, jakby mnie ponaglała: „No dalej, kolego”.

– Cóż... To miłe z twojej strony, że spróbowałeś. Jestem pewien, że... twój brat to docenił.

– Gdybym był mądrzejszy, wziąłbym Marty’ego ze sobą. Jest Niebieskim, więc mógłby odrzucić ją na bezpieczną odległość i wtedy zdołalibyśmy uciec.

– Czym ty jesteś? – *Tylko błagam, nie mów, że Czerwonym...* Żółta jest już dla mnie wystarczająco przerażająca. Nie jestem pewien, czy zniosę coś gorszego.

– Zielonym.

– Co to oznacza? – naciskam. Boże, nie wiem nawet, dokąd jądę. W końcu będę musiał się zatrzymać, ale chcę się znaleźć jak najdalej od Phoenix. – Masz dobrą pamięć?

Kręci przecząco głową.

– Jestem dobry z matmy... Rozwiązuję łamigłówki.

To straaasznie groźne. Szkoda, że rebusem nie można cisnąć w pistolet.

Gwiżdżę cicho, bardziej w reakcji na gorycz w jego głosie niż obraz, który jego słowa stworzyły mi przed oczami.

– Strasznie... strasznie się boję, że wsypałem resztę. Że ta kobieta jakimś cudem dowiedziała się, gdzie się ukrywałem, i wpakowała Dellę, Jima i pozostałych w kłopoty...

– Daj spokój... Wątpię. Chyba że coś jej powiedziałaś – przerywam mu. Dopóki ja nie panikuję i nie histeryzuję, nikomu na to nie pozwolę. – Możesz się jakoś z nimi skontaktować?

Chłopiec ma numer, na który mogę zadzwonić. Muszę tylko znaleźć wolną budkę z działającym aparatem telefonicznym. Kiedy wprowadzono komórki, budki praktycznie zniknęły, ale odkąd usługi telefonii komórkowej i same telefony zrobiły się tak drogie, że nikogo na nie nie stać, do nielicznych płatnych aparatów z powrotem podłączono kable.

W końcu znajduję budkę w pobliżu uliczki ze sklepami, na której wciąż działają salon pielęgnacji paznokci i chińska restauracja – nie wiem, co ich właściciele robią, że udaje im się przetrwać, ale oby tak dalej.

By się upewnić, że na nikogo się nie natkniemy, postanawiam zaczekać kilka minut. Nie mogę tak po

prostu zostawić dzieci samych. Kiedy dochodzę do wniosku, że jest bezpiecznie, odwracam się i przerywam toczącą się obok rozmowę.

– Jestem pewny, że Della pozwoli ci zostać, jeśli tylko zechcesz – mówi Bryson do Zu, kuląc się obok niej między deską rozdzielczą a przednim siedzeniem. – Na strychu jest dużo miejsca i mamy gry wideo!

Prycham, ale sekundę później przeszywa mnie silny dreszcz. Patrzę na reakcję Zu, która pisze swoją odpowiedź na drugiej stronie sfatygowanego skrawka papieru, któremu przyglądała się wcześniej na parkingu.

Pochylam się nad ramieniem chłopca, żeby przeczytać jej słowa. To dziwne, ale jej pismo jest dokładnie takie, jak wyobrażam sobie dźwięk jej głosu – duże, dziewczęce i lekkie. „Jadę na ranczo mojego wuja w San Bernardino”.

Czyli gdzie dokładnie? Wydaje mi się, że to w Kalifornii. Jeśli oczekuje, że zawiozę ją aż tam, to bardzo się zdziwi.

– Zaraz wracam – mówię do dzieci. – Zamknijcie drzwi, dobrze? I nie wychylajcie się.

Ostrożnie podnoszę słuchawkę i koszulą wycieram mikrofon, jakby to miało cokolwiek dać. Wrzucam do automatu dolara i wykręcam numer, który Bryson napisał mi na dłoni. Mija chwila, zanim się łączę i słyszę sygnał. Obracam się przez ramię, upewniając się, że dzieciaki nie podglądają mnie znad deski rozdzielczej,

czego surowo im zakazałem.

Czekam trzy sygnały i w chwili, gdy jestem pewien, że połączę się z pocztą głosową, w słuchawce rozlega się zasapany głos.

– Eee, dzień dobry, myślę, że... – Jasna cholera. Czy ludzie Graya w dalszym ciągu podsłuchują rozmowy telefoniczne? Czy mieliby jakikolwiek interes w podsłuchiowaniu linii właśnie tego domu? – Wydaje mi się, że znalazłem państwa... zagubionego kró... psa.

O mały włos nie powiedziałem „królika”! *Uspokój się, Gabe.*

Kobieta, jak podejrzewam Della, milczy.

– Z przyjemnością go odstawię, ale może będzie pani łatwiej go ode mnie odebrać? Eee... To duży pies. Ma zadbaną... rudawą sierść. Czy dobrze trafiłem?

– Tak – odpowiada miękkiem głosem. Ku mojemu zaskoczeniu ma południowy akcent. – Może mi pan powiedzieć, gdzie pan czeka? Z przyjemnością podjadę.

Wychyłam się z budki, usiłując dojrzeć nazwę najbliższej ulicy. Po plecach spływa mi pot, i to nie z powodu upału.

– Jem kolację w restauracji Mr. Foo’s na skrzyżowaniu ulic Baseline i Priest Drive.

– Dobrze – mówi i słyszę brzdęk kluczy, które podnosi. – Będę tam za jakieś pół godziny. Czy... czy powinnam coś ze sobą zabrać? W ramach podziękowania?

– Słucham...? – Orientuję się, że pyta, czy oczekuję jakiegoś wynagrodzenia. Cholera. Nastawiłem się, że gratyfikację finansową mogę dostać za wydanie dzieci, a nie ich... oddanie. Jestem tak zaskoczony, że nie wiem, co powiedzieć.

– Halo?

– Przydałyby mi się jakieś pieniądze na benzynę – bąkam. – Jeśli to nie problem.

Nie potrafię za bardzo pozbierać myśli nawet po tym, jak odkładam słuchawkę i ruszam w kierunku samochodu. Dzieci równocześnie się obracają i kiedy wślizguję się do środka i zatrzaszukuję za sobą drzwi, unoszą ku mnie swoje drobne twarze i wielkie oczy. Opieram czoło na kierownicy i zaciskam powieki.

– Rozmawiałeś z Della?

Słyszę szelest papieru i ciche skrobanie. Otwieram jedno oko w chwili, kiedy Zu podaje liścik Brysonowi. Oboje zachowują się tak naturalnie i zwyczajnie w tych dziwaczkich, okropnych okolicznościach, że mimo wszystko lekko się uśmiecham.

– Zu chce wiedzieć, czy masz ochotę, żeby zdobyła nam coś do jedzenia – komunikuje mi Bryson, czytając z kartki.

Opieram się o siedzenie i rzucam Zu poirytowane spojrzenie.

– Della będzie tu za pół godziny. Jeśli jesteście głodni, mogę wam kupić coś za piętnaście dolarów w

chińskiej knajpie.

Oboje kręcą przecząco głowami i zdają sobie sprawę, że to o mnie się martwią. Ogarnia mnie jeszcze większa frustracja.

– Wytrzymam. Zaczekajmy na Dellę.

Rozglądam się wokoło, żeby nie przegapić jej samochodu i mieć na oku każdą osobę i rzecz, która wydaje się podejrzana – w obecnych czasach do tej kategorii zalicza się mniej więcej wszystko. Nie mogliśmy jednak znaleźć się w spokojniejszej części miasta. Z nudów zaczynam rozpracowywać tablet, który zwinąłem.

Na stronie startowej widnieje mapa Stanów Zjednoczonych – urządzenie szybko powiększa Arizoneę, po czym wrzuca czerwony znacznik w miejsce posterunku SSP w Phoenix. Następnie na ekranie wyświetla się okno z informacją, że tablet nie może się połączyć z siecią bezprzewodową, i pytaniem, czy za niewielką opłatą chcę skorzystać z połączenia satelitarne.

Jeszcze czego. Oznaczałoby to, że ktoś na drugim końcu mógłby wykorzystać to samo połączenie, żeby wysłedzić tablet.

Ku własnemu zaskoczeniu mogę jednak z niego skorzystać bez połączenia się z internetem. Najwyraźniej dane zostały wcześniej zapisane w pamięci, a sieć służy jedynie ładowaniu uaktualnień. To chyba rozsądne

rozwiązanie – ostatnimi czasy internet jest niemal tak nieprzewidywalny jak prezydent Gray, ogłaszający się przywódcą wolnego świata.

Główne menu składa się z szeregu opcji, poczynając od usług GPS, przez elektroniczną wersję podręcznika po coś o nazwie „Rejestr poszukiwanych”.

To o to chodziło Hutchowi. Dotykam ikonki palcem i na ekranie wyświetla się lista nazwisk ze zdjęciami odmieńców. Większość fotografii jest dość poruszająca – dzieci wyglądają na przerażone. Na podobiznach tych, które zostały umieszczone w obozach, widnieje czerwony napis „ODŁOWIONO”. Nigdzie nie ma informacji, gdzie znajdują się obozy, ale każde dziecko ma swój profil z podstawowymi danymi zawierającymi przybliżony wzrost i wagę, miejsce urodzenia, imiona rodziców oraz komentarz o tym, czy dziecko zostało zgłoszone, czy „odłowione”.

Przyznaję, że zżera mnie ciekawość. Na górze ekranu znajduje się pole wyszukiwarki, więc wpisuję w nie „Zu”. Tablet ładuje rezultaty wyszukiwania, a ja w tym czasie staram się nie patrzeć na dziewczynkę. Świetnie, wyświetla się ponad trzysta wyników. System wyłowił wszystkie dane, zawierające sylabę „zu”, w tym zaskakująco wiele dziewczynek o imionach Zuzana i Zuriel.

Moja towarzyszka jednak nazywa się Suzume. Rozpoznaję ją od razu, mimo że na zdjęciu jej

porcelanową twarzyczkę okalają gęste, błyszczące, długie włosy. Wygląda, jakby strasznie się bała.

Na jej profilu widnieją następujące informacje: „Dwunastolatka z Wirginii. Jędynaczka. Na wolności. Żółta. Nagroda za odłowienie – trzydzieści tysięcy dolarów. Bardzo niebezpieczna. Stosować szczególną ostrożność”. Jakby tego było mało, niżej widnieje data jej ucieczki z „programu rehabilitacyjnego” – jest na wolności od zaledwie czterech miesięcy. Numer, który jej nadano, to: 42 245.

Pod spodem znajduje się pole zawierające komentarze łowców. Widnieją w nim dwa wpisy o tym, że widziano ją w Ohio, i jeden zgłaszający jej obecność w Wirginii.

W uszach rozlega mi się najpierw ciche, nierówne pulsowanie, które po chwili przechodzi w szaleńcze dudnienie. Nagle zamiast jednego ekranu przed oczami pojawiają mi się dwa – oba są rozmazane. Czuję, jak krew zaczyna mi buzować pod skórą, a tętno rozsadza mi skronie. Robi mi się ciepło, jakby dopadła mnie gorączka. Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać. Zaraz zwymiotuję.

Obcięli jej włosy, myślę.

Nie może mówić przez to, co jej zrobili.

Było jej tam tak ciężko, że musiała uciec, a teraz każdego dnia styka się z dupkami takimi jak ja, którzy chcą ją tam z powrotem odesłać.

Jak mogłem to w ogóle rozważać? Co ja sobie myślałem? Tak bardzo skupiłem się na tym, by ją zgłosić, że nie przyszło mi do głowy, że ona już kiedyś była w obozie i to związana z tym trauma zmusiła ją do ucieczki. I udało się jej. Wydostała się. Oboje uciekliśmy i trafiliśmy na siebie. Może to wcale nie przypadek. Może od samego początku ku temu zmierzałem.

Korci mnie, żeby ją o to zapytać. Chcę poznać jej prawdziwą historię, mimo że wiem, iż nie może mi jej opowiedzieć. Niech to opisze, wszystko mi jedno. Chcę się dowiedzieć, co jej zrobili i kto ją skrzywdził. A później ich zabić – co do jednego. Przed oczami stają mi obrazy moich znajomych ubranych w czarne mundury, przeprowadzających kolumny dzieci przez korytarze. Przypominam sobie zawiedzione spojrzenie Zu, kiedy nałożyłem jej na dłonie rękawice i zacisk, jakby była zwierzęciem. Najtrudniej przestać mi myśleć o tym, jak wyglądała, oglądając ten głupi film w pokoju motelowym – jak się rozpromieniła na widok Dorotki, która przestępując próg domu, wkroczyła w krainę marzeń Oz.

Ona też poznała życie w smutnym czarno-białym świecie... Kiedy jednak z niego uciekła, nie znalazła tęczy kolorów, pięknych strojów i tańca. Znalazła jedynie brzydotę.

Znalazła mnie.

6

Della jest młodsza, niż się spodziewałem. Słyszając, że nie ma dzieci, automatycznie założyłem, że to staruszka, a ona nie skończyła jeszcze pięćdziesiątki. Jej białe auto jest jedynym, które wjeżdża na parking, odkąd na nim tkwimy, więc zauważam ją, jeszcze zanim zaczyna jechać w naszym kierunku.

Parkuje zaraz obok nas od strony pasażera i kiedy się zatrzymuje, Bryson natychmiast wychyla głowę. Stoimy najdalej od sklepów, jak się da, ale wiem, że i tak musimy się śpieszyć. Mam nadzieję, że jeśli ktoś nas zauważy, to w najgorszym wypadku pomyśli, że wymieniamy narkotyki albo inne nielegalne substancje – a nie dzieci.

Kobieta ma na sobie niebieskie dżinsy i brązowy T-shirt. Widać, że jest spięta, ale w chwili, gdy dostrzeżę ognistorudą czuprynę chłopca, cała fasada opada. Wciąż prezentuje się atrakcyjnie – ma miły uśmiech, ciepłą, szczerą twarz i sięgające do ramion złote blond włosy. Nie wygląda na steraną życiem jak moja matka. Stoi przed nami w wielkich okularach przeciwsłonecznych, opierając ręce na biodrach.

– Przepraszam. – To pierwsze słowa, jakie wychodzą z ust Brysona, kiedy otwiera drzwi. – Bardzo, bardzo przepraszam.

Della nie wygląda na surową, ale podejrzewam, że gdyby chłopiec był jej własnym dzieckiem, porządnie by mu się oberwało. Zamiast tego jednak kobieta przekrzywia głowę, uśmiecha się lekko i otwiera przed nim ramiona. Chłopcu nie trzeba większej zachęty. Wtula w nią twarz i opada na nią całym swoim ciężarem. Rozluźniam się dopiero, kiedy sobie uświadamiam, że zasłaniają go otwarte drzwi.

– Mieliście ciężki dzień, co? – Della unosi okulary i patrzy to na Zu, to na mnie. – Jesteś młodszy, niż się spodziewałam.

Śmieję się.

– Mam syna w twoim wieku – ciągnie, świdrując mnie niebieskimi oczami. – Myślałam, że to jeden z jego numerów, więc musisz mi wybaczyć, potrzebuję chwili, żeby zwalczyć impuls i nie walnąć ci kazania o tym, jakie to było ryzykowne.

Dziwne. Bryson mówił, że nie ma dzieci.

Wzruszam ramionami.

– Bez ryzyka nie ma nagrody – rzucam.

Jej uśmiech odrobinę blednie.

– Nie, nie, nie to miałem na myśli – poprawiam się pośpiesznie. – Chodzi mi o ogólną zasadę. Jeśli człowiek nie ryzykuje, to nic w jego życiu się nie zmienia.

– To też mogłoby wyjść z ust mojego syna – mówi oschle. – Wyświadcz mi przysługę, oszczędź swojej matce cierpienia i nie przyłączaj się do Ligi Dzieci, żeby

zbadać prawdziwość tej maksymy.

Della nielegalnie daje schronienie dzieciom pod własnym dachem. Mogłem się spodziewać, że jej rodzony syn wstąpił do podziemnej organizacji, której głównym celem jest uprzykrzenie życia Grayowi. W głowie zapala mi się płomyk i przedziera się przez wszystkie pozostałe niejasne pomysły, które powoli zaczynam rozważać. Mam ochotę wypytać ją o to, dowiedzieć się więcej o jej synu, ale Della kieruje teraz swoją uwagę na Zu, która, przysięgam, przygląda się jej, wcale nie mrugając.

– Cześć, skarbie. Jak się masz?

Zu zdobywa się na wątki uśmiech, który Della odwzajemnia ze zdwojoną siłą.

– Mam dla was pieniądze na benzynę – kobieta zwraca się do mnie. – Dokąd jedziecie? Chcecie się gdzieś przespać?

– Jedziemy do Kalifornii – odpowiadam, ignorując zaskoczoną minę Zu, która gwałtownie odwraca się w moją stronę. A dokąd mamy jechać... – Jej wujek ma tam farmę, na którą muszę ją odstawić. Potem zacznę szukać jakiejś pracy.

– Masz porządek w papierach? I wiesz, jak przekroczyć granicę stanu?

Nagle serce po prostu przestaje mi bić.

– Dlaczego pani pyta?

Wyraz twarzy Delli łagodnieje, ale w jej oczach

pojawia się coś ostrego.

– Chodzi o zamieszanie z Koalicją Federalną i Ligą... Obie organizacje mają siedziby w Los Angeles, więc Gray zwiększył ochronę granic i wstrzymał eksport i import towarów w nadziei, że ich zagłodzi. Żeby tam wjechać, potrzebujesz specjalnego rządowego pozwolenia.

Jasna cholera. Przygryzam wargi, usiłując zwalczyć ogarniające mnie rozczarowanie. Jestem pewien, że można się tam dostać inaczej... Nie wjeżdżając samochodem. Ani nie musząc maszerować kilkuset kilometrów przez pustynię w upale.

– Śpieszy się wam? Dacie radę załatwić sobie papiery?

– Moglibyśmy na przykład... – Próbuję wymyślić sposób na przedostanie się do Kalifornii. Może na pacy półciążarówki? Może kogoś przekupię?

– Rozumiem – Della rozciąga to słowo, przeczesując ręką włosy. – Wygląda na to, że masz szczęście, skarbie. Przynajmniej odrobinę. Mam dokumenty, których możesz użyć, choć i tak nie będzie ci łatwo. A do tego musisz znaleźć sposób, żeby przy przekraczaniu granicy jakoś ukryć tę małą.

– Zaraz, zaraz, co takiego?

Della się uśmiecha.

– Mój mąż jest mechanikiem. Pracuje dla jednej z firm konserwujących kanały i akwedukty, które

wyprowadzają wodę z Arizony, więc ma dokumenty uprawniające go do przekraczania granic. O ile dobrze pamiętam, są w samochodzie...

Słowa Delli robią na mnie takie wrażenie, że nie pamiętam tego, jak wysiadam z furgonetki i idę do jej auta. Kobieta wskazuje na specjalne foliowe naklejki na przedniej szybie.

– Ich niestety nie mogę ci dać, ale jeśli dojedziesz na granicę koło północy, na posterunku będzie mniej żołnierzy i możliwe, że z lenistwa po prostu pozwolą ci przejechać. Jeśli nie, pokaż im papiery... – Nachyliła się, przez spuszoną szybę sięga do schowka i wręcza mi schludny zwitek dokumentów. – Firma jest na specjalnej liście i jej pracownicy nie potrzebują każdorazowo ubiegać się o przepustki. Jeśli dla potwierdzenia poproszą cię o dowód tożsamości, cóż, będziesz musiał zdobyć się na kreatywność albo westchnąć ku niebu i wcisnąć gaz do dechy.

Przełykam ślinę i kiwam głową.

Della kładzie mi dłoń na ramieniu i wygładza mi przód koszuli, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem – łapie się jednak na tym i wydaje z siebie zawstydzony cichy śmiech.

– Siła przyzwyczajenia, wybacz. Nie sposób tego uniknąć przy dwóch synach.

Tak naprawdę nie mam jej tego za złe. Szczerze mówiąc, zrobiło mi się miło.

– Jest pani pewna? – pytam cicho. – A pani mąż? Nie będzie potrzebował tych dokumentów?

Macha ręką.

– Zrozumie. Posłuchaj, chcę, żebyś wsiadł do auta i zawiózł tę dziewczynkę w bezpieczne miejsce, dobrze? To twoje zadanie, zgoda?

Ciężar, jaki spada mi na ramiona, sprawia, że trochę kręci mi się w głowie, ale potakuję. To moje zadanie. Zrobię to.

– Dasz radę, prawda? – Della znowu unosi okulary. – Jestem pewna, że tak. Wiesz czemu? Bo doszedłeś już bardzo daleko. Zadzwoiłeś do mnie, a nie do SSP czy jakiegoś łowcy. Na świecie jest tyle zła, a ty wniosłeś do niego odrobinę światła. I to nie dla pieniędzy czy uznania, ale wyłącznie z chęci niesienia pomocy innym. To rzadkość, ogromna rzadkość. Jesteś dobrym człowiekiem i powinieneś być z siebie dumny.

Kiedy wypowiada te słowa, rzeczywiście czuję się dobry. Prawdziwie szlachetny. Nie pamiętam, kiedy ostatnio było mi tak lekko na sercu. Krew napływa mi do twarzy, ale nie dlatego, że jestem zawstydzony. Po prostu klatka piersiowa mi się kurczy i muszę wstrzymać oddech, by nie wybuchnąć przed Dellą płaczem. Mam wrażenie, że jeśli jeszcze raz dotknie mnie tak czule, to wybuchnę i zamienię się w gwiazdny pył.

Nagle zdaję sobie sprawę, że od śmierci taty nikt nie

powiedział mi, że cokolwiek, co zrobiłem, było świetne, dobre, czy choćby przyzwoite. Może dopiero to takie właśnie jest. Zanim tata odebrał sobie życie, często mi powtarzał, że czasem nie wiemy, czego szukamy, póki tego nie znajdziemy. Mam w sobie tyle żalu do niego i całego świata, że zupełnie nie wiem, co zrobić z targającymi mną teraz emocjami. Wydaje mi się, że mam prawo poczuć się szczęśliwy. Że być może odnalazłem to, co powinienem robić.

Bryson i Zu pośpiesznie się przytulają, chłopiec przybija mi „żółwika”, po czym wdrapuje się do auta Della i sadowi w nim wygodnie. Zapinam pas i widzę, że w tym samym czasie Zu walczy z wyschniętym długopisem, który jej pożyczyłem, próbując wytrząsnąć z niego choćby kroplę atramentu.

Kiedy Della daje mi ostatnie wskazówki i wyjaśnia, jak najszybciej wyjechać na autostradę i dotrzeć na południe Kalifornii, Zu nerwowo bazgrze coś na tej samej kartce, na której pisała liściki do Brysona. Widzę znajomą odręczną notatkę, którą podpatrzyłem wcześniej, z tym że teraz wiem, że to nie Zu ją napisała. Pismo jest zbyt staranne i równe, by mogło należeć do niej. Dziewczynka przesuwając rękę i w końcu mogę zobaczyć całość tekstu.

„Kochamy cię. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, szukaj moich rodziców. Teraz nazywają się Della i Jim Goodkind. Powiedz, że ja cię przysłałem”.

Podskakuję, kiedy Della wyciąga rękę, żeby ścisnąć mnie za ramię i się pożegnać. Zu w panice podnosi wzrok, pośpiesznie składa kartkę i pochyla się przede mną, żeby wręczyć ją kobiecie.

– Uważaj na siebie, skarbie – mówi Della i posyła jej całusa. – Proszę was, oboje na siebie uważajcie.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecuję jej i zapalam auto. Odsuwa się, żebym mógł zakręcić szybę.

Nie wiem dlaczego, ale odjeżdżając, spoglądam jeszcze w lusterko wsteczne. Ciągłe czuję się trochę, jakbym wszedł do czyjegoś przyjemnego snu, wszystko wydaje mi się nierealne. Wiem, że nie wydobędę z Zu jej historii, a już na pewno nie tego wszystkiego, co chciałbym wiedzieć. W porządku. Każdy ma prawo do sekretów. Ja też w tej chwili zostawiam swoją przeszłość za sobą.

Odbicie Delli w lusterku robi się coraz mniejsze, ale widzę, że kobieta rozkłada kartkę papieru. Patrzę, jak przykładą dłoń do ust i opada na bok auta. Może ogarnęła ją wielka ulga, nie wiem. Wiadomość od Zu to tylko trzy słowa, ale sprawia, że kobieta jak przebita sztyletem niemal pada na kolana.

„Liam jest bezpieczny”.

Zastanawiam się, czy nie zatrzymać się na noc w jakimś tanim pokoju motelowym przy drodze, żeby na chwilę zamknąć oczy i naładować baterie. Nie mogę się jednak

na to zdobyć, bo szkoda mi pieniędzy. Della twierdziła, że czeka nas sześć godzin jazdy, ale zamierzam dojechać na ranczo przed północą.

Zu wpatruje się w stojące przy drodze zielone znaki, które mijamy. Bębni przy tym palcami o udo i dochodzę do wniosku, że pewnie je liczy. Przejeżdżamy przez środek pustyni, skutkiem czego nie możemy złapać stałego sygnału radiowego – mam wrażenie, że cisza nieco odbiera dziewczynce pewność siebie. Lekkość, którą odczuwałem, rozmawiając z Della, też powoli ze mnie uchodzi i zlewa się z otaczającą nas mroczną pustką. Pierwszy raz w życiu tęsknię za rosnącymi na północy drzewami. Za dobrze mi znaną rzeczywistością otulającą mnie szczelnie niczym koc.

Nie mogę dłużej ignorować faktu, że kiedy odstawię Zu, wszystko się skończy. Wypełnię swój plan i tyle, chyba że ona i inne dzieci będą rozpaczliwie potrzebować, bym z nimi został i im pomagał. To bardzo do mnie przemawia, ale wtedy musiałbym zdobyć więcej pieniędzy, szczególnie że zupełnie mnie nie stać na którąkolwiek z wciąż otwartych stanowych uczelni w Kalifornii. Mógłbym poszukać pracy przy zbiorach albo na budowie. Może przyjęliby mnie do policji. Jeśli nie, to zawsze zostaje mi jeszcze Liga Dzieci. Wątpię, by byli wybredni, a przynajmniej miałbym pewność, że robię coś konkretnego, by pomóc dzieciom. Muszę to przemyśleć.

Podoba mi się taki stan rzeczy. W końcu mam jakiś wybór. Możliwości.

– Jaka jest ta farma, na którą jedziemy? W porządku?
– pytam.

Zu zapisała mi wcześniej adres. Mądrała, pamiętała go, a do tego pierwsza wpadła na pomysł, żeby do nawigacji użyć mapy z tabletu łowców nagród, powiększając obraz, aż w końcu pokazała ulice otaczające San Bernardino. Byłem w Kalifornii tylko kilka razy, więc zaczynam się trochę denerwować, kiedy docieramy do Quartzsite, jednego z ostatnich miasteczek w Arizonie leżących przy autostradzie przed granicą stanów.

Zu wzrusza ramionami.

– Nigdy tam nie byłaś? Przecież tam mieszka twój wujek.

Łączy ze sobą dwa palce, a następnie gwałtownie je rozrywa.

– Rozumiem – mówię. – Nie dogaduje się z resztą twojej rodziny?

Dostają uniesione kciuki.

– Jesteś pewna, że... To znaczy, wiem, że to twój wujek, ale czy on tak po prostu cię przyjmie?

Zu obejmuje się ramionami, udając mocny uścisk.

– Mam nadzieję, mała, bo nie możesz ze mną zostać, kiedy wyruszę na poszukiwania... na przykład Ligi Dzieci.

Wygląda, jakbym uderzył ją w twarz. Kiedy mija jej pierwszy szok, wyraźnie się denerwuje. Najpierw myślę, że to dlatego, że byłem trochę niemiły, ale Zu zaczyna wariować. Potrząsa głową i wymachuje rękami.

W ciemności widzę, że układa usta, jakby mówiła: „Nie” i „Nie oni”.

– Czemu nie? – Z tego, co słyszałem, ich metody nie są zbyt delikatne, ale udaje im się postawić na swoim i wysuwać żądania skuteczniej niż rodzicom przesiadującym na schodach miejskiego ratusza w Flagstaff.

Zu zaczyna nerwowo przeszukiwać różne schowki w aucie – wyciąga kartki papieru, po czym chowa je z powrotem, kiedy się okazuje, że widnieje na nich coś ważnego.

– Dorotko, Dorotko, już dobrze. Uspokój się. – Widzę, że robi się coraz bardziej sfrustrowana, i gdy mam wrażenie, że zaraz zerwie sobie z twarzy opatrunki, które jej wczoraj założyłem, i zacznie pisać na nich, w końcu końcówką atramentu pisze coś na dłoni.

„NIE. LIGA JEST STRASZNA! PRZERAŻAJĄCA! STAĆ CIĘ NA WIĘCEJ!”

Prycham i bębnię palcami o kierownicę. Przez kilka minut nie jestem w stanie nic powiedzieć. Jakbym miał w gardle kamień i nie mógł go przełknąć. Jeszcze przed chwilą czułem w ustach tylko smak hamburgera z McDonalda, którego pochłonąłem na kolację. Teraz są

tak suche, że język przykleja mi się do podniebienia.

– Dobrze. Niech ci będzie – mówię jej. – Wymyślę sobie coś innego.

Nawet jeśli to nieprawda, chcę w to wierzyć.

Posterunek na przejściu granicznym widać z odległości dobrych pięciu kilometrów. Reflektory zamontowane są tak wysoko, że rzucane przez nie światło tworzy grubą ścianę bieli. Kiedy się zbliżamy, naszym oczom ukazują się zasieki z drutu kolczastego oraz olbrzymie czołgi i ciężarówki wojskowe zgromadzone przy autostradzie i mały, stary budynek, w którym kiedyś przesiadywali strażnicy i wszystkich przepuszczali.

Chwilę temu przystanęliśmy, żeby ukryć Zu, ale ciągle jest mi niedobrze, kiedy o tym myślę. Naprawdę mam wrażenie, że zwymiotuję ze strachu. Dziewczynka wcisnęła się w wąską przestrzeń między siedzeniem pasażera a deską rozdzielczą. Przykryłem ją kocem i dużą sportową torbą wypełnioną ubraniami, które wygrzebaliśmy z jednego z kontenerów na używane ciuchy. Nie jestem pewien, czy ma czym oddychać, i nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli żołnierze będą chcieli przeszukać furgonetkę – zastanawiam się, czy Zu będzie musiała mnie uratować i z tych tarapatów.

– Nic nie mów ani się nie ruszaj, choćby nie wiem co, zgoda? – nakazuję jej.

Wszędzie stoją jasnopomarańczowe znaki nakazujące

zredukowanie prędkości, ale są raczej zbędne. Światła reflektorów są tak cholernie jasne, że prawie nic nie widać, i muszę ściągnąć nogę z gazu, żeby nie wjechać w zaporę z beczek albo w któregoś z żołnierzy.

Cholera. Jasna cholera. Ściskam kierownicę. Klimatyzacja pracuje na maksymalnych obrotach – jej szum jest niemal ogłuszający – a plecy i tak przyklejają mi się do sztucznej skóry siedzenia. *Poradzisz sobie, Gabe – Jim! Jesteś Jim! Jim Goodkind i masz pełne prawo tędy przejechać...*

Z niewielkiego posterunku wychodzi umundurowana kobieta i unosi rękę, zasłaniając się przed blaskiem świateł mojego auta. Pokazuje, żebym podjechał do przodu, ale nie puszcza mnie bez kontroli, jak naiwnie marzyłem.

Stuka kostkami dłoni w szybę. Opuszczam okno, przypominając sobie, żeby oddychać. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech...

– Mogę zapytać, w jakiej sprawie udaje się pan do Kalifornii?

Powiedz coś. Cokolwiek. Obok siebie masz małą dziewczynkę, dla której musisz zachować się jak przystało na dwudziestopięciolatka, a nie na trzyletnie dziecko, jak podpowiada ci twoja tchórzliwa natura.

– W sprawie akweduktu... – Przęłykam ślinę i przywołuję na twarz uśmiech, który, mam nadzieję, nie nadaje mi wyglądu pomyleńca. – Szef podejrzewa, że

ktoś mógł uszkodzić część biegnącą w Kalifornii. Poziom wody jest podejrzanie niski. Muszę sprawdzić to jeszcze tej nocy, a jutro przyjedzie reszta ekipy.

Nie mam pojęcia, co mówię. Nie wiem nawet, czy istnieje kanał łączący Kalifornię i Arizone. Zawsze myślałem, że jest odwrotnie, że to Kalifornia spija większość Colorado River i nic nam nie zostawia. Może po prostu dorastając, spędzałem za dużo czasu z zapieczonymi, zgorzkniałymi przewodnikami po Wielkim Kanionie.

Uśmiecham się tak szeroko, że tracę czucie w twarzy.

Cholera. Czemu tego nie przeciwiczyłem? Czemu nie potrafię przewidywać?

– Mam wszystkie dokumenty... przepustki – dodaję niepewnie, walcząc z otwarciem schowka.

Kobieta spogląda na swoje notatki, a następnie na moją twarz.

– Nie mam żadnych informacji o tej naprawie...

Nachyliam się ku oknie i ściszam głos do szeptu, tak żeby ona też musiała się pochylić, by mnie usłyszeć.

– Istnieją podejrzenia, że w całą sprawę zamieszana jest Liga Dzieci. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że tu jestem.

Świetnie. Nie dość, że wyglądam jak typ spod ciemnej gwiazdy, to na dodatek robię z siebie świrusa opętanego przez teorie spiskowe. Co za wspaniały sposób na wzbudzenie zaufania!

Cholera, to nie przejdzie. Jak mogłem wierzyć, że się uda? Siedzący w budce przed telewizorem żołnierz wystawia głowę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kobieta, która mnie sprawdza, obraca się do niego i zaczyna wyjaśniać, ale mężczyzna jej przerywa.

– Heron Hydraulics jest na liście firm ze stałym pozwoleniem na przejazd. Dam ci ją dzisiaj, żebyś ją sobie do jutra przejrzała – mówi, po czym zwraca się do mnie: – Proszę wybaczyć, może pan wjechać.

Gapię się na niego otępiały. Kobieta musi na mnie machnąć, żebym w końcu ruszył.

Po kolejnych trzydziestu metrach trafiam jednak na następny punkt kontrolny, o którym Della zapomniała wspomnieć. Nie robi takiego wrażenia jak pierwszy, ale kiedy podjeżdżam bliżej, dostrzegam drobną ciemną postać poruszającą się w ciasnej budce. Z metalowych szlabanów zagrażających przejście zwisa tabliczka z napisem: „PRZYGOTOWAĆ PRZEPUSTKI WYDANE PRZEZ KOALICJĘ FEDERALNĄ”.

O nie. Czy mam takie? Znowu włączam lampkę nad głową, pozwalając furgonetce toczyć się powoli przez wąski skrawek ziemi niczyjej rozdzielającej konkurujące ze sobą rządy. W stercie różnokolorowych oficjalnych dokumentów nie mogę znaleźć niczego oznaczonego nazwą Koalicji. Podczas gdy nasz samochód dojeżdża do metalowego drążka oddzielającego mnie od pogrążonej w aksamitnej czerni kalifornijskiej pustyni, z trudem

panuję nad płytkim, przyspieszonym oddechem.

Co mam powiedzieć? Jak nagiąć prawdę, by uwierzyli, że jestem po ich stronie, a nie po stronie Graya? Czy to w ogóle ma znaczenie? Czy tego ode mnie oczekują? A może przez to wydam się im podejrzany?

Kiedy dojeżdżam do szlabanu, policjant – zapewne oficer z patrolu drogowego, a o takich dziś trudno – sięga do czegoś na swoim biurku i unosi drążek. Mężczyzna nawet się nie obraca i nie odrywa oczu od telewizora. Ogląda ten sam program co oficer Gwardii Narodowej.

Przyspieszam, spodziewając się, że będzie próbował mnie zatrzymać. Że wykaże choć w połowie tyle inicjatywy, ile kontrolująca mnie kobieta. Mężczyzna jednak się nie podnosi – posterunek jest jak pusty dom, w którym dla pozorów zapalono światła. Nikomu na niczym nie zależy. To by się nawet zgadzało, biorąc pod uwagę, ile czasu minęło od założenia Koalicji i jak mało w tym okresie przyniosła pożytku.

Zu ma czerwoną twarz, ale promienieje, kiedy zsuwam z niej torbę i koc. Nie odwzajemniam jej uśmiechu, na co ściąga swoje ciemne brwi w niemym pytaniu. Nie chcę jej powiedzieć. Nie chcę, żeby wiedziała, że nagle nie jestem już taki pewien, czy jesteśmy tu bezpieczni.

San Bernardino nie różni się zbyt od okolicy, w której znalazłem Zu. Wprawdzie nie jest porośnięte tak gęstą warstwą zielonych zarośli jak Flagstaff, ale jestem przekonany, że wśród tutejszych drzew dostrzegam kilka takich jak w domu. Leży w ładnej dolinie i jest otoczone przez czarne góry, które zdają się ku nam coraz bardziej pochylać, kiedy zbliżamy się do świateł miasta i ruszamy w kierunku centrum.

Słyszałem plotki, że Kalifornia nie ucierpiała tak bardzo jak reszta kraju i teraz, jadąc ulicami San Bernardino, mam wrażenie, jakbym cofnął się o dziesięć lat. Nie ma tu szpetoty, do której się przyzwyczałem: morza srebrnych przyczep kempingowych, porzuconych samochodów ani miasteczek namiotowych. Sądząc po tablicach przy drodze, ceny paliwa również są tu astronomiczne, ale żadna ze stacji nie została zabita dechami z informacją „NIE MA BENZYNY” albo „PROSZĘ PRÓBOWAĆ W CAMP VERDE”.

Ranczo wuja Zu mieści się dobre trzydzieści kilometrów za miastem. Mijają godziny i robi się coraz ciszej i chłodniej. W końcu muszę zakręcić szybę i ściszyć radio.

– Hej, Dorotko. – Potrząsam dziewczynką, starając się ją obudzić. – Czy to tu?

Wokoło panuje całkowita ciemność, ale wzdłuż drewnianego płotu prowadzącego do dużego piętrowego domu zawieszono oświetlenie. Obejście jest urządzone w stylu typowym dla południowego zachodu – zadbano o wszystko: od obowiązkowych kaktusów w donicach stojących obok wejścia po białą jak śnieg czaszkę bizona nad drzwiami. Pozwalam, by światła naszej furgonetki omiotły budynek, a następnie zatrzymuję auto na ubitym podjeździe i je gaszę.

– Co myślisz? – pytam. – Nigdzie się nie świeci...

Zu odpina pas, zaciskając usta w wąską linię.

– Chcesz tu zaczekać, aż sprawdzę, czy ktoś jest w domu?

Przyznam się, iż w głębi serca miałem nadzieję, że ktoś będzie czuwał i na nas czekał. Że pozostałe dzieci, które ścigali łowcy, powitają tu Zu, zasypując ją opowieściami o tym, jak wymknęły się brodaczo. To nie było zupełnie nieprawdopodobne, przecież nie widziałem, żeby zostały schwytane. Z tego, co wiem, nie było ich również na posterunku SSP w Prescott.

Pewnie wszyscy śpią, myślę, zaczesując włosy do tyłu. Tak. Dochodzi północ, czas, w którym nie dzieją się dobrze rzeczy. My też powinniśmy być już w łózkach.

Zu oczywiście nie chce zostać w samochodzie, ale przynajmniej zgadza się, by dla ostrożności schować się za moimi plecami. Czuję, jak jej maleńkie dłonie chwytają mnie za tył koszuli, by łatwiej jej było nadążyć,

i myśl, że dziewczynka na mnie polega, uspokaja mnie.

Naciskam dzwonek i pukam, ale nikt nie odpowiada. Obchodzimy dom wokoło, zaglądając przez okna – w środku nie ma nikogo, stoją tam jedynie przykryte białymi płachtami meble.

Może wuj Zu porzucił swój dom? Posiadłość jest tak rozległa, że samo przemierzenie podjazdu zabrało nam sporo czasu – utrzymanie i dbanie o to miejsce zapewne wymagałoby niewiarygodnej pracy nawet w świetnych warunkach gospodarczych. W pewnej chwili wydaje mi się, że na tyłach trawiastej łąki za domem widzę kilka krów lub koni, ale wyczerpany mózg najwyraźniej płata mi figle, bo okazuje się, że to tylko głązy.

Sięgam w tył, żeby chwycić Zu za rękę, i zastanawiam się, jak jej to wyjaśnić. To niesprawiedliwe, że to ja muszę złamać jej serce, oznajmiając, iż cała jej walka, by się tu dostać, była daremna. Kiedy jednak zaczynam układać sobie w głowie słowa, ze stojącego nieopodal domu mniejszego budynku, który wygląda na stajnię lub garaż, dobiega nas stłumiony odgłos.

Drzwi są zamknięte, ale pod nimi dostrzegam linię ciepłego mlecznego światła, które gaśnie, gdy ostrożnie i cicho zaczynamy się do niego zbliżać. Zu cały czas idzie za mną, mocno ściskając mnie za koszulę.

Chwytam metalową klamkę i powoli uchylam drzwi. Słyszając, jak chroboczą o kamienistą ziemię, czuję, że serce zaczyna mi walić jak szalone. Przez sekundę nie

wiem, co się dzieje, bo twarz, którą widzę przed sobą, to twarz Zu – taka jak ze zdjęcia w sieci łowców: okolona długimi, błyszczącymi włosami. Oczy nieznajomej się rozszerzają, a usta otwierają do krzyku.

W tyle dostrzegam blond włosy. Dziewczynka z pistoletem w ręce nie waha się ani chwili i strzela mi prosto w pierś.

Czuję się, jakby...

Mam wrażenie...

To jak...

Umysł zalewa mi wściekła fala bólu, która przeszywa mnie i rozrywa od wewnątrz. Nie mogę... Nie rozumiem... Trzy dziewczynki – te same, które widziałem kilka dni temu na autostradzie – krzyczą. Zanim nogi się pode mną uginają, czuję, że Zu usiłuje mnie podtrzymać od tyłu.

Rusz się... Nie chcę zrobić jej krzywdy, ale od pasa w dół zupełnie nic nie czuję. Zaraz się na nią przewrócę... Zaraz...

Kiedy znowu otwieram oczy, leżę na plecach, a z rozciągającego się w górze przejrzystego, gwieździstego nieba pada na mnie ciepły deszcz.

– To gość, którego spotkałyśmy na drodze... Myślałam, że...!

Zu to się pojawia, to znika mi z pola widzenia. Popycha dziewczynkę z bronią i wali ją rękami w pierś. Słyszę: „zadzwoń” i „nie może”, „szpital”, a później

uszy wypełnia mi tylko bicie serca. Chciałbym podnieść rękę, żeby ucisnąć sobie dziurę w klatce piersiowej, którą wyrwała mi kula, ale nie mogę oddychać... Nie mogę... Nie jestem w stanie... Duszę się i dławię, a na języku czuję metaliczny posmak.

Jedna w dziewczyniek znika w mroku stajni. W powietrzu czuję stary, duszny zapach zwierząt i ostrą woń świeżego siana, ale nawet to zaczyna słabnąć. Zu pochyła się nade mną. Widzę, że porusza ustami, porusza wargami, chcąc przekazać mi coś przeznaczonego tylko i wyłącznie dla mnie. Pod ręką nie ma długopisu ani papieru. Widzę malujące się na jej twarzy rozpacz i desperację. Widzę, że kładzie mi dłonie na piersi, ale nic już nie czuję.

– D... Dorotko... – Pali mnie w gardle i tylko dzięki temu wiem, że wydobywam z siebie słowa. – Wygląda na to, że... Nie powinniśmy byli opuszczać Oz...

Czuję, że odpływam. Ciałem dziewczynki wstrząsa szloch. Po policzkach płyną jej smarki i łzy. Chcę jej tyle powiedzieć... Chcę jej powiedzieć, że... Jej twarz zaczyna się rozmazywać w szarości... a wraz z nią gaśnie mój ostatni oddech. I głos.

Przestań się mazać jak dziecko... Boże, nie becz.

Nie wiesz, że tego nie znoszę?

Dorotko, to strasznie głupie. Nie ma się nad czym rozczulać.

Przestań.

Przezań...

Tytuł oryginału: *In Time*

Copyright © 2013 by Alexandra Bracken

Copyright © for the translation by Magdalena Krzysik

Opieka redakcyjna: Anna Małocha

Adiustacja: Magdalena Adamek / d2d.pl

Korekta: Anna Woś / d2d.pl, Zuzanna Szatanik/ d2d.pl

Projekt okładki: Weronika Raj

Fotografia na okładce: © Ronnachai Palas /
Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-798-7

WYDAWNICTWO
otwarte
www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513

Kraków, tel. [\(12\) 427 12 00](tel:(12)4271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa
Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa
Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

